

Rewolucja w... łóżku str. 9

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

• ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

PL ISSN 0137-7100 Nr indeksu 30231

NR 25 (871)

14 grudnia 1986

Cena 15 zł

**Stachura
-ciąg
dalszy**

str.3,10

Dwie dusze Kocka

Wiesław Horabik

KOCK ma dwie dusze, a prawdę tę udało mi się odkryć stosunkowo szybko. Jedna dusza zamknięta jest najwyraźniej w starych, posmutniałych chałupkach będących jakby martwą ilustracją prozy Bruno Schulza, w kwadratowym rynku, projektu Bogumiła Cuga, z klasycznym odgalezieniem czterech ulic, w waleśaniu się małego, niemrawego świata; druga przytała się zaś na skraju traktu, który od wieków przecina osadę na pół, nie przestając być inspiracją i furtką ku „dzianiu się”. Tamta pierwsza jest duszą zaprzęszą, wystygłą, łatwą do wytropienia. Ogniskuje w sobie owe dziwne opowieści-legendy, bez których nie może się obejść żadna rozmowa: o dobrej księżnej Annie Jabłonowskiej, która zbankrutowała wraz z upadkiem państwa, o Berku Joselewiczu — żydowskim pułkowniku powstańców, o generale Franciszku Kleebergu — wodzu ostat-

Dokończenie na str. 4—5



Rys. Franciszek Małuszcak

Edmund Pietryk.

Wielkie szariwari i 030

str. 6-7

Własnymi siłami...

Mieczysław F. Rakowski

13 grudnia br. mija pięta rocznica dramatycznego wydarzenia, jakim było wprowadzenie stanu wojennego w Polsce. Mieczysław F. Rakowski, pełniący w tamtym czasie funkcję wicepremiera, poświęca temu wydarzeniu obszerną część wspomnień w drugim tomie przygotowywanej do druku książki pt. „Czasy nadziei i rozczarowań”. Fragmenty tej książki drukowały w tym roku „Odciosy”. (Red.)

[...] Mimo że od tego dnia upłynęło już kilka lat bogatych w wydarzenia mniej lub bardziej ważne dla teraźniejszości i przyszłości socjalizmu w Polsce, nie potrafię myśleć o tej dacie chłodno, beznamiętnie. Tkwi ona we mnie i tak już chyba pozostanie, co oczywiście nie oznacza, że myślę tylko o przeszłości. Staram się koncentrować swoją uwagę na przyszłości, ale to, co wówczas przeżywałem, było zbyt ważne, zbyt dramatyczne, abym mógł powiedzieć, że jest to już zamknięty rozdział historii, do której nie powracam.

Decyzje o konieczności wprowadzenia stanu wojennego przyjąłem spokojnie, z pełnym zrozumieniem. Sądziłem, że to, co powiedziałem, nie jest niczym zaskakującym. Wszak wspominałem już, że jesienią 1981 roku przypatrując się gwałtownie pogarszającej się sytuacji gospodarczej i politycznej coraz częściej dochodziłem do wniosku, że wszystkie nasze poczynania zmierzające do osiągnięcia porozumienia z przywódcami „Solidarności” skazane są na niepowodzenie. W związku z tym utwierdziłem się w przekonaniu, że sięgnięcie po środki nadzwyczajne będzie konieczne. [...]

11 grudnia, w południe, poprosił mnie szef rządu i poinformował, że zbliża się dzień, w którym konieczne stanie się sięgnięcie po środek ostateczny. W związku z tym polecił mi, abym zainteresowałem się zapasowym punktem telewizyjnym, z którego 13 grudnia nadane zostało jego wystąpienie. O dniu i godzinie wprowadzenia stanu wojennego zostałem poinformowany w południe 12 grudnia, wkrótce po podjęciu decyzji. Pozostawała ona w ścisłym związku z przebiegiem posiedzenia Komisji Krajowej („Solidarności” w Gdańsku — przyp. red.). Z napięciem oczekiwaliśmy przebiegu obrad. Po pierwszym dniu było już wiadome, że przywódcy Związku nie odstąpiłi od awanturniczego kursu, który tak wyraziście zarysował się w Radomiu. W tej sytuacji bierność władz nie oznaczała nic innego, jak oczekiwanie na jakiś cud. A cud nie mógł się przecież zdarzyć. Natomiast zbliżała się słowieszca data — siedemnasty grud-

nia, dzień, w którym w sercu Warszawy miała się odbyć wieloletni manifestacja. [...]

Noc z 12 na 13 grudnia spędziłem w gmachu Urzędu Rady Ministrów, częściowo w moim gabinecie, częściowo w innych. Jakkolwiek tej nocy nie miałem już prawie żadnych zadań do wykonania, to uważałem, że powinieniem ją spędzić w gronie najbliższych współpracowników, a także być gotowym na każde zawołanie szefa rządu.

Krótko po północy odbyło się nadzwyczajne posiedzenie Rady Państwa. Otwierając posiedzenie, przewodniczący Rady Państwa zapoznał jej członków z pismem Prezesa Rady Ministrów informującym o powstałej szczególnej sytuacji zagrażającej żywotnym interesom państwa i narodu oraz wnoszącym o rozpatrzenie i podjęcie w trybie artykułu 33 ustęp 2 Konstytucji PRL:

1) uchwały w sprawie wprowadzenia stanu wojennego ze względu na bezpieczeństwo państwa, 2) dekretu o stanie wojennym, 3) dekretu o przekazaniu do właściwości sądów wojskowych spraw o niektóre przestępstwa oraz o zmianie ustroju sądów wojskowych i wojskowych jednostek organizacyjnych Prokuratury PRL w czasie obowiązywania stanu wojennego, 4) dekretu o postępowaniach szczególnych w sprawach o przestępstwa i wykroczenia w stanie obowiązywania stanu wojennego i 5) dekretu o przebaczeniu i puszczaniu w niepamięć niektórych przestępstw i wykroczeń. Wszystkie te sprawy referował Sekretarz Komitetu Obrony Kraju, generał broni Tadeusz Tuczapski. Po udzieleniu przez naczelnego prokuratora wojskowego, gen. J. Szewczyka, i podsekretarza stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości, T. Skórę, odpowiedzi na zgłoszone przez członków Rady Państwa pytania, Rada Państwa uchwaliła dekrety w przedstawionym przez Prezesa Rady Ministrów brzmieniu. Odrębne stanowisko zajął Reiff. Jan Szczepański stwierdził, że nie mając możliwości dokładnego zapoznania się z projektami dekretów, nie wypowiada się za nimi, lecz nie zgłasza także sprzeciwu. Po posiedzeniu Rady Państwa zastępca przewodniczącego, Tadeusz W. Młynczak, sekretarz, Edward Duda, oraz członkowie: Józef Ozga-Michalski, Henryk

Szafrański i Stanisław Wroński, którzy nie zdążyli przybyć na posiedzenie, zaaprobowali decyzje podjęte przez Radę Państwa. O przyjęciu dekretów zostałem poinformowany telefonicznie przez szefa rządu. [...]

Jest rzeczą oczywistą, że państwo, nie tylko nasze, musi być przygotowane na każdą okoliczność. Tak na przykład, mimo że już ponad czterdzieści lat żyjemy w warunkach pokoju, państwo posiada rezerwy państwowe stale odnawiane i utrzymywane na pewnym poziomie, które stanowią ważne zaplecze dla gospodarki na wypadek wybuchu wojny. Siły zbrojne posiadają także stale odnawiane plany mobilizacyjne. Podobnie rzecz się przedstawia z planami dotyczącymi wprowadzenia stanu wyjątkowego bądź też wojennego. Trudno sobie wyobrazić, aby jakikolwiek rząd po doświadczeniu wniosku, że z takich czy innych przyczyn konieczne jest zastosowanie środków nadzwyczajnych, zwolywał prawników i polecał im w ciągu jednego dnia opracowanie odpowiednich dekretów. Są to sprawy zbyt poważne, tkwi w nich tyśiące szczegółów, a więc jest rzeczą oczywistą, że nie mogą być załatwione „na kolanie”. Wypracowanie koncepcji wprowadzenia stanu wojennego w postaci odpowiednich dokumentów, sporządzających w kasie pancernej, w niczym nie podważa wiarygodności polityki nastawionej na osiągnięcie porozumienia, realizowanej przez partię i rząd w 1981 roku. Dekrety uchwalone przez Radę Państwa zostały wyciągnięte z sejfu dopiero w chwili, gdy okazało się, że linia polityczna, przyjęta przez IX Zjazd, środki i metody jej właściwe nie są w stanie położyć kresu słowieszczym procesom destrukcji gospodarki i życia społecznego. Na tej samej zasadzie zostały w odpowiedniej chwili uruchomione jednostki Ludowego Wojska Polskiego i siły podległe MSW. Jest oczywiste, że one również dysponowały opracowanymi wcześniej planami działania. [...]

O czym wówczas myślałem? Hm, to trudno opisać. Różne myśli kłębiły się w głowie. W tę najbardziej dramatyczną noc w moim życiu myślałem o miesiącach, jakie upłynęły od dnia nominacji na stanowisko wicepremiera.

Uświadomiłem sobie, że żyłem w nieustannym napięciu psychicznym i fizycznym, było to życie w trybie przyspieszonym; niemal każdego dnia stawałem w obliczu wy-

darzeń zaskakujących, niecodziennych; musiałem podejmować decyzje w sprawach, z którymi przedtem nigdy się nie stykałem; uczyłem się sztuki zawierania kompromisów i mówienia NIE. Nie ukrywam, że dziś, po latach, jakie upłynęły od tamtej nocy, nierzadko powracam do tych spraw i zadaję sobie pytanie, na ile moje ówczesna działalność była prawidłowa, na ile zaś utorna, niedoskonała. Analizując dzieła i setki sytuacji pod kątem mojego intelektualnego i politycznego przygotowania do stawienia czoła problemom, z którymi się wówczas zetknąłem. Myślę, że te rozważania nie opuszcza mnie do końca życia.

Tamtej nocy dławilo mnie uczucie przegranej. Wiedziałem już, że linia polityczna realizowana przez ekipę, do której należałem, poniosła porażkę. Nazwałem swoje wyznaczenie czasami nadziei i rozczarowań. Myślę, że powiniennem tytuł skorygować, jak to zrobił mi jeden z czytelników pierwszej części, ponieważ były to czasy malejących nadziei i rosnących rozczarowań. Mówię to sobie, ale byłem przecież tylko jednym z członków rządu, którym kierował generał Jaruzelski. To on przede wszystkim wziął na swoje barki największą, historyczną odpowiedzialność. Zarówno jego działalność w 1981 roku, jak i działalność rządu, którym kierował w tych trudnych miesiącach, będzie jeszcze wielokrotnie przedmiotem analiz, studiów itp. Przyszli historycy i politolodzy prześwietlą i opukają każdy dzień naszej działalności. Na pewno znajdą w tym, co robiliśmy, słabe miejsca, skrytykują nas za to i owo, ale jestem przekonany, że ostateczna ocena działalności rządu Jaruzelskiego, w tym najtrudniejszym dla zwolenników socjalizmu okresie Polski Ludowej, będzie pozytywna. Gdy namiętności ustąpią miejsca chłodnej analizie wydarzeń oraz ludzi, którzy je tworzyli, to okaże się, że rząd, do którego wówczas należałem i w imieniu którego prowadziłem negocjacje oraz odbywałem rozmowy z przywódcami „Solidarności”, był rządem, który w nadzwyczaj trudnych warunkach społecznych, gospodarczych i politycznych uparcie dążył do zbudowania w Polsce pokoju społecznego; był rządem reformatorskim, był rządem, dla którego idea partnerskiego współzycia i współdziałania wszystkich patriotycznie myślących Polaków nie była hasłem propagandowym. I wreszcie historycznym osiągnięciem rządu Jaruzelskiego pozostanie to, że śmiertelne niebezpieczeństwo, jakie zawiśło nad naszą Ojczyzną, potrafilismy oddalić własnymi siłami.

To prawda, że trzeba było za to zapłacić cenę wcale niemałą, ale jaką cenę zapłacilibyśmy jako naród, gdyby nie powstrzymano rozhukanego żywiołu? [...]

(Od redakcji: Miejsca oznaczone kropkami w nawiasach stanowią skróty dokonane przez naszą redakcję. Skróty jak i tytułu tekstu nie autoryzowaliśmy z M. F. Rakowskim.)

Po drugiej stronie Olzy

Piotr Przeczek

Na dzień św. Józefa wiatr rozniósł anioły po drzewach nad Wętką Poczta stoi na rozstaju dróg
Zruca monetę i odchodzi
Ostatni w tym roku świąteczny
wsiały na latarni
i budzi gospody
to już pierwszy
budzie idą w stronę
metra

Wiersz ten — swoim charakterem bardzo polski, choć umiejscowiony w środowisku czeskim — znaleźć można w „Spotkaniu — almanachu prozy i poezji”. Autorem utworu jest Jacek Sikora. Autora nie znają jednak czytelnicy w Polsce. Należy on do grupy młodych literatów, wywodzących się z polskiej grupy narodowościowej na czeskim Śląsku Cieszyńskim, a wydawcą ponad dwustutnicowej książki (wśród wierszy 22 poetów są i wiersze Jacka Sikory) jest oficyna „Profil” w Ostrawie.

Grupa narodowościowa Polaków w CSRS liczy obecnie nieco ponad 50 tysięcy osób zamieszkujących głównie przygraniczne miejscowości nad Olzą. Warto wiedzieć, że Czechosłowacja jest zgodnie ze swą powojenną konstytucją krajem zamieszkanym przez równoprawne narody (Czesi i Słowacy) i narodowości (Węgrzy, Polacy, Ukraińcy i Niemcy). W regionie śląskim od stuleci współżyli Czesi i Polacy. Równoległe z rodzajem świadomości narodowa wśród grupy śląskich Polaków z tego regionu powstała poczucie odrębności etnicznej. Zależało im do

narodu polskiego, wskazywano na specyficzne cechy mieszkańców tej części Podbeskidzia, ich język i kulturę.

W tych warunkach znajdowała swoje źródło rodząca się polska twórczość regionalna, równocześnie jednak wyrażała wpływ miała na nią świadomość istnienia w środowisku wrogim dla polskości (w okresie trwania Austro-Węgier) lub nieprzychylnym, jakie tworzyła burżuazyjna Republika Czechosłowacka. Była więc twórczość polska nad Olzą od początku traktowana przez całe środowisko jako narzędzie obrony i rozwijania wartości narodowych.

Nawiązali do tych tradycji również ojcowie współczesnej twórczości nadolziańskiej: Karol Piegza i Gustaw Fierla. Ale dzięki nim sztuka (literacka czy malarstwo) patriotyczna uzupełniana była coraz częściej akcentami ogólniejszymi, ponadnarodowymi. Wyraźnie widoczne stało się to przede wszystkim w poezji młodszej generacji, aktywnej od początku lat trzydziestych. Przewodził tej grupie Paweł Kubisz, autor „Przednówka”, najciekawszego przed wojną zbiorku poezji polskiej, jaki pojawił się na czeskim Śląsku Cieszyńskim.

Z inicjatywy Piegzy i Fierli ruch artystyczny lat trzydziestych zaczął nabierać form organizacyjnych. W ramach działającej od lat niezwykle aktywnej polskiej Macierzy Szkolnej odbyło się w grudniu 1936 roku pierwsze spotkanie tej Sekcji Literacko-Artystycznej. Od samego początku jej członkami rozważano jednak możliwość usamodzielnienia grupy, co urzeczywistniono już w kilka miesięcy później. Powstał w ten sposób Śląski Związek Literacko-Artystycz-

ny, zrzeszający wówczas wszystkich twórców (literatów, muzyków i plastyków) ówczesnego Zaolzia. Wojna wkrótce jednak przerwała działalność rokującego duże nadzieje Związku.

Po wyzwoleniu trwały nad Olzą przez kilka lat konflikty na tle narodowościowym, uniemożliwiające reanimację polskich organizacji. Zmianę spowodowała dopiero przerwana przez komunistów, podpisana w marcu 1947 roku, umowa o przyjaźni i współpracy pomiędzy Polską i Czechosłowacją, a zwłaszcza objęcie władzy przez klasę robotniczą pod przywództwem KPCz w lutym 1948 r. Już wkrótce po podpisaniu umowy, która między innymi gwarantuje prawa polskiej grupy narodowościowej w Czechosłowacji, rozważano powołanie do życia nowych struktur. W czerwcu 1947 powstał Polski Związek Kulturalno-Oświatowy. Działający do dziś bardzo aktywnie, Związek jest organizacją członkowską Frontu Narodowego, zrzesza prawie 24 tysiące obywateli czechosłowackich narodowości polskiej. Artyści należeli do jego animatorów, nie więc dziwnego, że wkrótce powołali do życia również jego Sekcję Literacko-Artystyczną, nawiązującą do tradycji przedwojennych.

W miarę jednak widocznego zanikania presji z zewnątrz dochodziło do zmian. Tradycyjny regionalizm przestał być podstawowym miernikiem wartości, coraz częściej w regionie szukano wyłączone punktu wyjścia dla twórczości o charakterze uniwersalnym. Tendencja ta skłaniała równocześnie członków SLA do wprowadzania wyraźnej specjalizacji. W ten sposób powstała struktura organizacyjna, dzieląca Sekcję na cztery pionierzy — literacki, plastyczny, filmowy i muzyczny. Łącznie zrzeszają one dziś około setki członków i kandydatów SLA.

Do celów Sekcji należało zawsze przede wszystkim umożliwienie członkom wymiany doświadczeń, pomocy sobie, ale też często z twórcami z Polski. Bywali u nas znani literaci — Wańkowicz, Zukrowski, Koprowski, Szewczyk, Nowak, Siłwiak, Nie-

wątpliwie dzięki tego rodzaju kontaktom kilka nazwisk znad Olzy pojawia się w ostatnich latach na półkach księgarskich w Polsce, dzięki wydawnictwu w książkach. Wymienić należy przede wszystkim zbiory poezji Wilhelma Przeczka, eseistykę Władysława Sikory czy opowiadania Wiesława Adama Bergera.

Wydaje się, że kontakty te, a nieraz dokonane przez obecnych na takich imprezach krytyków polskich dogłębne analizy twórczości Polaków w Czechosłowacji, pomogły również w coraz większym stopniu odchodzić od — postulowanych przez tradycjonalistycznie konserwatywne społeczeństwo — regionalnych wymogów, sentymentalizmu, naiwnego patriotyzmu do głębszego widzenia rzeczywistości, do niezależnej postawy twórczej.

Oceniając współczesną twórczość Polaków w Czechosłowacji, zrzeszonych w Sekcji Literacko-Artystycznej ZG PZKO, zauważyć można swoisty paradoks: wcześniej, zwłaszcza w okresie przedwojennym, dominował tu regionalizm opierający się o polski patriotyzm. Postawa taka prowadziła jednak do izolacji regionalnej, do powstawania iluzorycznej samostnej kultury. Stopniowe osadzanie w istniejącej rzeczywistości, w środowisku dwujęzycznym, nieobcym jednak kulturowo, prowadziło do zrozumienia własnej wartości i miejsca — w społeczeństwie Czechosłowacji i w kulturze polskiej. Twórczość Polaków nad Olzą ukierunkowana jest obecnie przede wszystkim na uchwylenie i zrozumienie rzeczywistości tego specyficznego skrawka ziemi, bez sentymentów i z góry zaprogramowanych treści. Nam samym pomaga to zrozumieć siebie, ale może chyba zainteresować i odbiorcę w Polsce.

(Od redakcji: Autor tego artykułu jest redaktorem naczelnym ukazującego się w Czeskim Cieszyńsku miesięcznika społeczno-kulturalnego „Zwrot”. W Czeskim Cieszyńsku przebywał w ubiegłym tygodniu M. F. Rakowski, stąd brak tego notatnika w bieżącym numerze „Kamena”.)

Lubelskie lata Edwarda Stachury (4)

Mirosław Derecki

WE wtorkowym numerze „Sztandaru Ludu” z 2 lutego 1960 r. na ostatniej stronie wydrukowano listą czcionką:

Wieczór autorski E. Stachury. Niżej — informacja: Dziś, w ramach kolejnego wtorku literackiego, odbędzie się wieczór autorski młodego poety lubelskiego — Edwarda Stachury.

Edward Stachura drukował swoje wiersze w „Kamieniu”, „Kulturze i Życiu” — tygodniowym dodatku „Sztandaru Ludu”, „Nowej Kulturze”, „Współczesności”, „Odnowie” i „Nowej Wsi”. W roku ubiegłym zdobył II miejsce w ogólnopolskim „Turnieju jednego wiersza” podczas festiwalu młodych poetów w Poznaniu.

Wieczór odbędzie się jak zwykle w klubie „Nora” — Krakowskie Przedmieście 32. Początek o godzinie 19.

Nawet nie wiedziałem, że Sted miał już z sobą ostatnio druk w takich pismach, jak „Nowa Kultura” i „Współczesność”. Wcale się z tym nie afiszował.

Tego dnia — a także, kilku poprzednich i następnych — było bardzo zimno, mroz na całego. W Krakowie temperatura spadła do minus 34 st. C., pękały szyny. W województwie koszańskim silne wiatry nawiały zasy na szosach, tworzyły się zatory na drogach i szlakach kolejowych. Koło Kłodzka śnieg zablokował kursowanie pociągów. W Górach Świętokrzyskich pękały w lasach jodły. Na Lubelszczyźnie było podobnie...

I oto, ku mojemu kompletnemu zaskoczeniu,

mimo mrozu i śniegu,

sala klubu „Nora” przed godziną 19 była wypełniona po brzegi. Przeważała artystyczna młodzież, ale znalazło się także wiele starszych osób — literaci, pracownicy kultury, dziennikarze. Kierownik klubu, Władysław Grzyb, biegł od stolika do stolika, zapalając świece, tkwiące we flakonikach, z których powyrzucano zeschnięte kwiatki. Wieczór miał się odbywać w odpowiednim nastroju. Dyskusję miał bodajże prowadzić Stefan Zarębski; Grzyb już na środku tanecznego parkietu ustawił stolik dla prowadzącego i dla czytającego wiersze...

Dławiła mnie trema. Sted — nasączony dokładnie od kilku godzin, dla dodania sobie kurażu, winem — siedział w jednym z głębokich foteli pod ścianą, po prawej stronie sali, udając, że zachowuje zimną krew.

Co ja wtedy czytałem?

Zacząłem chyba (według kolejności dokładnie ustalonej przez Stachurę) od „Róży”. A potem musiała być pewnie „Noc”:

Ty się pochyl róża-bóg
ty się do mnie pochyl [...]

Następnie — wiersz bez tytułu, trzema tylko gwiazdkami oznaczony:

Ja tobie poselstwa wysyłać pęki pokłonów
nie widzę lepiej sam pójść
bo to wszystko puch jest pył
więc lepiej sam pójść widzę [...]

I później już zaczęły się „Pieśni” z poematu „Dużo ognia”:

Nie byłem stróżem ognia w moim domu
rozrastały mi domy nie moje i progi
i w liściach miałem hotele to moje
Latorość byłem żadna bo nieuchwytna [...]

A dalej szła „Pieśń: Pływanie”, którą do tej pory tak lubię:

Pamiętam dawniej wędrować do Fajans
po kukurydzą i inne klejnoty
na wielkich barkach i biodrach wędrować
po fajans

Handel pamiętam wyborne dochody
dla obu stron rzeki jasnej
i czystej jak mój handel

Sól była tania a najmiłsza muzyka
do obiadu kiedy soli dużo
bo to jest piękna przyprawa [...]

Następnie czytałem — „Pieśń: Odpływanie” i „Pieśń: Łażnia” oraz „Pieśń: Świętokradztwo”, „Pieśń: Dużo ognia” i „Pieśń: Odkupienie”:

Ode mnie już nawet
najdalsze siostry powietrzne ulatują dalej
choć oddalone o niebo wielkie to niebo
i tylko jego brzegi nas stykają i chmury
wędrujące od brzegu do brzegu te chmury
ale czy to może być źle [...]

Nie wiem, nie pamiętam już zupełnie, jakim wierszem zakończyłem, natomiast jeszcze dzisiaj słyszę w uszach tę wrzawę, która podniosła się po daniu znaku do dyskusji...

Sala podzieliła się

na dwa zwalczające się z furją obozy: zwolenników

i przeciwników poezji Stachury. W tej drugiej grupie przeważali młodzi koledzy po piórze Steda.

Przesiadłem się na jakieś boczne miejsce, tuż przy grubym, czworobocznym, podtrzymującym sufit sali, filarze. Dyskusja stawała się coraz bardziej zajadła. Niektórzy młodzi poeci w zacieśnieniu odmawiali wręcz autorowi prawa do pisania... W pewnym momencie Zbyszek Domarańczyk, który siedział obok, trącił mnie w ramię i powiedział z absolutnym zachwytem w głosie: „Ty popatrz tylko na Steda; ty wiesz, co za chwilę może tutaj się zacząć dziać...!”. Spojrzałem w stronę rzędu foteli pod ścianą: Stachura siedział bład, w dłoni ścisnął pustą butelkę po winie...

„Ale nic się nie „zaczęło dziać”, bo oto nagle doszedł wreszcie do głosu, siedzący w pierwszych rzędach krzesel, po drugiej stronie filara, starszy od nas o kilka lat krytyk i historyk literatury Tadeusz Klak (wkrótce potem zaczął redagować w „Kamieniu” kolumnę literacką: „W stronę młodych”)... Ku ogromnemu zaskoczeniu przeciwników Steda, którzy mieli Klaka „za swego”, on nagle wystąpił z płomienną obroną, co więcej — gorącą pochwałą poezji Stachury!

Niestety, nie pamiętam już, jak się dalej, po wypowiedzi Klaka, potoczyła dyskusja w „Norze”. Jakże mógłbym wówczas przypuszczać, że po latach będę wracał do tego wtorku literackiego...

Wieczór autorski Steda był naprawdę wielkim wydarzeniem w ówczesnym kulturalnym życiu Lublina.

Zygmunt Mikulski pisał trzy dni później na łamach „Sztandaru Ludu” (z 5 lutego 1960 r.):

POEZJA — CHLEB POWSZEDNI

Wieczór autorski młodego poety lubelskiego — E. Stachury [...] nasunął zbyt wiele refleksji i spostrzeżeń, by można je było zachować tylko dla siebie. Był przede wszystkim jedną wielką niespodzianką. Pierwszą niespodzianką sprawiła publiczność. Na sali był komplet (rzecz, która się zdarza niezmiernie rzadko) młodych miłośników poezji.

Drugim ważnym problemem była jakość prezentowanej poezji i poziom jej podania (wiersze czytała M. Derecki). Jesteśmy, jak się zdaje, świadkami narodzin talentu dużej miary, który ma wszystkie szanse wyjścia poza lubelskie opłotki. E. Stachura ma już poza sobą pierwsze doświadczenia startu poetyckiego. Drukował swe utwory w „Kulturze i Życiu”, „Kamieniu”, „Współczesności”, „Nowej Kulturze” itd., jest laureatem poetyckiego konkursu literackiego, i zdecydowanie wybijają się spośród szarego nieco tła młodej poezji miejscowej.

Ostatnią wreszcie niespodzianką, niespodzianką zaskakującą, była temperatura dyskusji i jej dynamika. Wystąpienia i ostre starcia między poszczególnymi dyskutantami przepełnione były taką żarliwością, dowodziły takiego zaangażowania osobistego w sprawę poezji, że niezmiernie trudno (dziś jeszcze) oprzeć się wzruszeniu i specyficznemu wstrząsowi. Młodzież na wtorkowym wieczorze okazywała swe prawdziwe oblicze, oblicze ludzi, dla których sztuka nie jest ani rozrywką, ani zjawiskiem przebrzmiałym. Jest na pewno swoistą koniecznością życiową. Obok tego zjawiska trudno przejść obojętnie lub pominać je milczeniem, tym bardziej, iż w codziennej praktyce nie żałujemy w stosunku do młodzieży barw czarnych i głosów na wskroś pesymistycznych. [...]

Przytoczyłem treść artykułu prawie w całości, bo oddaje on w sposób plastyczny i wierny nastrój tego, co się wówczas działo w klubie „Nora”. Zresztą, kto z dzisiejszych wielbicieli twórczości Edwarda Stachury będzie miał możliwość dotarcia do tych starych, zakurzonych roczników codziennej lubelskiej gazety?

Może więc warto przytoczyć także fragment zamieszczonego (w kilka miesięcy później) na łamach „Kamienia” — „Do Edwarda Stachury listu prywatnego”, pióra Tadeusza Klaka (nr 15—16, z 15—31 sierpnia 1960 r.), który nawiązywał do tamtego gorącego lutowego „wtorku literackiego”:

[...] Do dziś pamiętam te wzruszenia, jakie obce są lekturze większości bieżącej produkcji poetyckiej, bo tak to trzeba nazwać. Zadziwiła mnie delikatność i czułość niemal tych wierszy. I tęsknota, tak zresztą daleka od sentymentalizmu i łatwego wzruszenia. Przeżyciem była dla mnie „Róża”, którą czytałem później wiele razy.

[...] Przyznam się: byłem bezsilny wobec tej poezji, nie potrafiłem sformułować, co tu jest nowego, choć to nowe było dla mnie oczywiste. Wyczuwałem jej melodię, ale nie potrafiłem określić, co się na to składa. Dziś dla mnie sprawa jest już jaśniejsza. [...] Należy Pan do ludzi, którzy czują się dobrze tylko w krainie poezji.

[...] Ktoś może mi zarzucić, że tak wynoszę poezję dopiero poczynając się. Czynie to z całą odpowiedzialnością i z przekonaniem, że na taką poezję można stawiać. Napisałem zapewne mało o jej minusach, „ale czy to może być źle?” Daruję mi Pan ten cytat, lepszego nie widzę. Proszę przyjąć najlepsze życzenia. [...]

Nigdy już, od tamtego wieczoru, nie czytałem przed publicznością, ani nie mówiłem wierszy Stachury.

Po sukcesie

jakim był wieczór autorski Steda w klubie „Nora”, łamy miejscowej prasy stały przed nim otworem. Stachura związał się jednak naprawdę tylko z „Kamienią”.

Z Zygmuntem Mikulskim łączyły wprowadzie Steda więzy wzajemnej symantii, a nawet chyba — przyjaźni, ale w redagowanym przez „Mistrza” dodatku „Sztandaru Ludu” — „Kultura i Życie”, nie pojawił się przez szereg miesięcy ani jeden jego wiersz. Dlaczego tak się działo, nie wiem. Może Stachura wyczuwał, że „Mistrz” aż tak bardzo, jakby życzył sobie Sted, nie ceni jego poezji?

Pracował dużo. Owocem tej pracy było m. in. piękne, duże opowiadanie — „Jasny pobyt nadrzeczny”, które zostało wyróżnione na konkursie zorganizowanym przez redakcję „Nowej Kultury” i Wydawnictwo „Książka i Wiedza”. Poza tym — kontynuował studia romanistyczne na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Z początkiem wiosny Sted zaczął mieć kłopoty z mieszkaniem. Pokerowe noce, na które przychodzili do wspólnego pokoju w „akademiku” przy ul. Sławińskiego zbyt liczni entuzjaści tej gry (także spoza środowiska studenckiego), budziły coraz ostrzejsze protesty współmieszkańców „szesnastki”, którzy chcieli mieć spokój. I ostatecznie skończyło się to, zdaje się, wymówieniem Stachurze miejsca w domu akademickim.

Przez jakiś czas udzielał mu, dorywczo, gościny Lubelski Oddział ZLP w swym lokalu przy ul. Granicznej 7. W jednym z dwóch wielkich pokoi na parterze willi, należącej kiedyś do znanego bibliofila, historyka i pisarza, księdza Ludwika Zalewskiego, stała ukryta za szafą twarda i niewygodna kozetka, na której nocowano czasem przyjeżdżających literatów, jeśli zabrakło dla nich miejsca w hotelu. Rano trzeba się było szybko zrywać z pościeli, bo przychodziła sekretarka oddziału, Olga Gajewska, i rozpoczynała urzędowanie.

Po prawdzie to Sted swoje tam mieszkanie zawdzięczał głównie dobroci i życzliwości Olgi, która niejedną raz przymykała — jak sądzę — oczy na jego zbyt już przedłużające się pobyty. I także była nader wyrozumiała, jeśli chodzi o egzekwowanie należności za noclegi. A poza tym Olga, zabiegana między pracą w Związku a prowadzeniem własnego domu i wychowywaniem trojga dorastających dzieci, wspierała Steda w sposób najbardziej mu chyba potrzebny: swoją wiarą w jego pisanie, niezachwianym przekonaniem, że czeka go wielka przyszłość. „Panie Edwardzie, ja wiem, że pan się wybije!” — powtarzała. Nic dziwnego, że swoją pierwszą książkę, tomik opowiadań „Jeden dzień” — tak doskonale przyjęty przez krytykę — Sted podarował Oldze z dedykacją: Drogiej i Szanownej Pani Oldze Gajewskiej za dobre serce i wiarę w Stachurę — Edwarda Stachura. Pisał do

Repr. Zbigniew Jaśkiewicz

niej kartki z licznych swoich podróży, przysyłał kolejne książki i przyjaźń ta przetrwała długie lata.

Snując plany

przeniesienia się od nowego, 1960/1961 roku akademickiego na Uniwersytet Warszawski, nie myślał Stachura o osłabieniu więzi z „Kamienią”. Przeciwnie: wyjeżdżając na wakacje, jak zwykle „gdzieś w Polskę”, wystąpił do kierownictwa redakcji z propozycją pisania „listów poetyckich” spoza Lublina. I już w lipcowym, 13—14 numerze „Kamienia” (z 15—31.VII.1960 r.) ukazał się pierwszy taki list, zatytułowany po prostu: „Drogi Przyjacielu!”...

Za oknem jest czwartek i niebo błękitne [...] Jakże to jest piękne miasto Wrocław, drogi mój! We Wrocławiu jesteś w Europie wielkomiejskiej. Ale

Dokończenie na str. 10

Dwie dusze Kocka

Dokończenie ze str. 1

niej wrześnie bitwy. Ta dusza druga, wykreślająca ciągłość do mierzni z teraźniejszością, wciąż jeszcze się kształtuje, trudniej poddaje się poznaniu, a przecież wyznacza sporą część dnia dzisiejszego i całą przyszłość. Nie sposób tropić bez potykania się o drugą, nie sposób zrozumieć tej drugiej bez zachowania w pamięci pierwszej.

Miasteczko jest zapewne częścią prawdy o wszystkich tych niegdysiejszych, pogranicznych, na wół-kresowych, uśpionych na marginesie życia osadach przekazanych w rozbiorowo-międzywojennym spadku. Niewiele ich pozostało, a jednak są. Łączy je wszystkie pewna wspólność klimatu i atmosfery. Musi mieć wszakże Kock i swe własne oblicze, swoją inność, tylko swoją tożsamość. (Choćby taki fakt, że nigdy nie dotarła tu kolej.) Dla uchwycenia tej tożsamości lub przynajmniej jej części zjawilem się tu w oparach najprawdziwszej londyńskiej mgły. Wynurzające się z niej niespodzianie sylwetki domów i ludzi przydały tylko uroku i tajemniczości mojemu wędrowaniu.

Są tu nazwy ulic i numery domów jak w każdym pilnującym porządku mieście. A jednak jeśli pragnie się kogoś odszukać, dane owe okazują się martwe. Ważne stają się wówczas hasła: Urząd Miasta i Gminy, Dom Nauczyciela, Pałac, a nawet pan M. czy Z. No właśnie, Urząd Miasta i Gminy. „To tam, gdzie stoł dużo samochodów, za nową przychodnią”.

Naczelnik, Stanisław Jeśkiewicz, jest człowiekiem z gatunku tych młodych, energicznych, napompowanych chęcią działania. Ma pod sobą siedem tysięcy dusz, w tym trzy tysiące samych koczan. Imponuje brakiem kompleksów i rzetelną wiedzą o tym, co robi. Niektórzy ze starszych wciąż jeszcze spoglądają ostrożnie na jego działanie (urzęduje dopiero od dwóch lat i poszeptują coś o hurra- optymizmie). Tymczasem niekwestionowane poparcie większości społeczeństwa pozwala mu pielęgnować duże, choć całkiem realne ambicje.

Wielkiego przemysłu tu nie ma i nie będzie go w przyszłości. Ten, co jest, sam dogrzebuje się swojej rangi: Zakład Doskonalenia Zawodowego (podzespoły i radio-magnetofony), Państwowy Ośrodek Maszynowy (usługi dla rolnictwa), Szlifiernia Szkła Kryształowego (ma swój firmowy sklep w rynku), Krochmalnia, SKR. I tak już, z niewielkimi zmianami, pozostanie. Miasteczko pomyślano bowiem jako swego rodzaju zagłębie wypoczynku, rekreacji, zakątek czystej natury. Stawy rybne, piękne lasy, dziko pozostawione zakola nieskażonych rzek. I właśnie w tych ambicjach ugodzono Kock najdotkliwiej. Jak wszędzie, popłynęły ścieki (Zakłady Mięsne w Łukowie, radzyńskie „kombinaty”), a dawne miejsce nastrojowych spacerów — Podgórkę — zmieniło się w szambo tuczarni z Biało-brzegów. Budowa oczyszczalni okazuje się więc rzeczą najpilniejszą. „Skoro już samą inwestycję ujęto w planach do roku 2000, koniecznością chwili staje się rozwiązanie tymczasowe, na dziś, stworzenie oczyszczalni typu biologicznego, bloku. Za kilka lat będzie już za późno i potrzebny jest jeszcze kolektor wód deszczowych wraz z osadnikiem” — mówi naczelnik.

Kanalizacja istotnie stanowi tu problem sam w sobie. Dawna przedwojenna, zabudowa wymaga modernizacji, a po drobnym deszczu stoł na ulicach wielka woda. Obok Urzędu z brukowanych podwojek i rozbabranych domostw ściekają strużki cuchnącej mazi. Na dodatek, w przystę-

pie ducha niepojętej reorganizacji, zabrano miastu Zakład Oczyszczania (podlega teraz pod Lubartów). Samych mieszkańców, przyzwyczajonych do dawnego stylu bytowania, także trudno namówić, by zadbał o estetykę. A jednak przed dziesięciu laty zdobywał Kock tytuł Krajowego Mistrza Gospodarności!

Dla nowej przychodni brakuje naczelnikowi lekarzy, choć generalnie nie brakuje mu mieszkań. W Kocku nie ma wielkiej płyty i już choćby to samo wyznacza inność tego miasta. Wojewódzki Konserwator Zabytków, pilnujący jak cerber stylowych kamieniczek w centrum, skazuje gminę na dodatkowe koszty (ciągłe remonty), ale uchronił ją przynajmniej od drażniącej sztampy. Nowe bloki są ciekawie wkomponowane w swoisty pejzaż i pozbawione jednakowości. Może uda się pożenić mieszkania z lekarzami, choć młodzi nadal uciekają. Często będę słyszał stwierdzenie, że to miasteczko ludzi starszych.

Bilans dokonał gminy w tym roku okazuje się niemal. Ukończono drogę Talczyn — Nowiny, odremontowano dwie szkoły (Annopol, Talczyn), podwyższono o jedną kondygnację budynek komunalny z apteką, wyasfalto-

wódzkiemu Urzędowi Pocztowo-Telekomunikacyjnemu na nową automatyczną centralę uznano za zbyt ciasne. A przecież miasta nie chodzi wcale o łączność z Brukselą. Ważne, żeby na rozmowę z Lublinem nie czekało się godzinami. Mieszkańcy potraktowali decyzję WUPT jako zwykły urok.

Rynek. Jak przed wiekami, bije przy nim serce Kocka. Przysiadło tu niemal całe zaplecze usługowe, tu zatrzymują się autobusy zapewniające kontakt z Lublinem, Siedlcami, Białymstokiem i jeszcze dalej. Przy zielonej rabacie, polyskując we mgle silnymi światłami, parkują miejscowe taksówki. Tak stały chyba niegdyś zamknięte dryndy. Zarobkowanie samochodem stanowi tu, jak przypuszczam, jedynie zajęcie uboczne. Czasami trafi się daleki kurs w okolice, ale na co dzień trzeba chyba dorabiać w innej branży. W różnych punktach rozległego placu gestykują żywo grupki pochylonych mężczyzn. Może to trawestacja dawnego chodnikowego wysiadywania na stołeczkach. Na centralnym budynku, pokrytym jak liszajami odpadającym tynkiem, dumny, czarny napis: „Złotnik”. Po lewej stronie mniejsze litery: „Srebro”, po prawej: „Złoto”. Powiew egzotyki? Relikt przesz-

der „Kock i okolice”, musiał się niedługo nabiedzić, by sfotografować tę część pałacu, która jeszcze nadawała się do fotografii. Tuż potem, jak dopust boży, pojawił się jednak na horyzoncie nieoczekiwany sponsor — wrocławski ZREMB. W latach, gdy każdy większy zakład chorował na swój zamek, wrocławianie od razu zakasali rękawy. Po rozległym parku mieli odtąd latem hasać ich dzieci, a mężczyźni z wędkami mieli pomykać o świcie nad kuszającą brzegi Wleprza. Pałac został odbudowany, lecz burzliwe lata osiemdziesiąte położyły kres wczasowym marzeniom wrocławskich budowlanych. Pałacowa moda z konieczności znalazła swój kres, a wojewoda lubelski wykorzystał to skwapliwie. Przejął odrestaurowany obiekt i przekazał go koczanom. W Domu Pomocy Społecznej ponad pięćdziesięciu opuszczonych przez los i rodziny rolników znalazło swoje miejsce przemijania. W ten sposób napotkał pałac swe najlepsze przeznaczenie, zgodne nawet, jak głosi domniemanie, z ukrytymi marzeniami księżnej-społeczniczki. (Na marginesie warto by zapytać, kiedy wrzeszcz miasto uczył jej pamięć nazwą choćby drobnej uliczki?)

Mijam teraz biały mostek przerzucony nad dawnym rowem-fosą. Po pra-



wano dwie ulice, unowocześniono kotłownię w Szkole Podstawowej w Kocku. Nie udało się rozpocząć budowy pawilonu usługowo-handlowego, bowiem w miasteczku inwestycje wymagają nie tylko nakładów, lecz i zgody właścicieli małych parcel rozrzuconych tutaj wszędzie. To kolejny odprysk nie tak znów odległej przeszłości...

Sekretarz Miejsko-Gminnego Komitetu PZPR, Marian Mioduchowski, potwierdza oceny i podziela troski naczelnika. Mówi o poczcie, której praktycznie nie ma. Telefony funkcjonują nadal na przysłowiową korbkę, a pomieszczenie zaproponowane Woje-

wości? Zart? Drzwi i okna zabite „na glucho”. Z dwóch usytuowanych tutaj barów (jeden ma licencję na sprzedaż piwa) wysypują się na ulicę urywki głośnych rozmów. Ktoś bez ustanku wchodzi i wychodzi. Światło w oknach księgarni polyskuje martwo. Przez rynek trzeba przejść, by trafić do pałacu; by trafić tutaj wszędzie.

Z pałacem miał Kock w końcu szczęście. Przejżdżając od lat lubelską szosą, patrzyłem, jak stopniowo zapadał się w ruinę. Niegdyś miała tam swoją siedzibę szkoła, ale i ona musiała w końcu się wyprowadzić. Kiedy Mirosław Jaszczuk przygotowywał we wczesnych latach siedemdziesiątych fol-

wej stronie mającej we mgle wrońnięte w ziemię ruiny byłych zabudowań folwarcznych, ale już za chwilę wynurza się w blasku stylowych latarni wspaniały fronton budynku głównego i przepiękna lukowa kolumnada łącząca skrzydła boczne. Ja także mam szczęście; dyrektor Państwowego Domu Pomocy Społecznej, Ryszard Syta, to były wieloletni naczelnik Kocka. Zyje wciąż przeszłością i teraźniejszością miasta. Nikt go ze stanowiska nie zwalniał. Sam odszedł. „Naczelnikiem byłem już za długo. Takie działania nie

polegają na biciu swoich rekordów — mówi. — Ja zmęczyłem się już problemami, a ludzie bez wątpienia zmęczeni się mną”. Postawa odbiegająca

znacznie od powszechnie stosowanych w tej materii praktyk. Interesuje mnie, jak dyrektor Syta widzi teraz problemy jako zwykły obywatel i jak działają radni, owa najczystsza martwa literatura samorządu terytorialnego. „Widzi pan — słyszę w odpowiedzi — nie ma problemów jednoznacznych. Teraz rozumiem to dobrze. To samo zagadnienie inaczej widać zza biurka, a inaczej z ulicy. Obywatela nie interesuje fakt, że brakuje pieniędzy, nakładów, czasami zwykłych możliwości. Łatwo jest krytykować, trudniej to wszystko pogodzić. Radni? Obserwuję tu swoisty paradoks. Niegdyś organa samorządowe miały mniejsze możliwości działania, a jednak chciały działać; dzisiaj możliwości są bez porównania większe, a świadomość tego faktu jakby właśnie zmalala. Niemal cała prawda o marazmie naszego życia kryje się w dziwnej mentalności człowieka”.

Na dole zaglądam do Miejsko-Gminnej Biblioteki Publicznej. Liczy około 16 tysięcy woluminów, skupia ponad tysiąc czytelników. Wystawy, spotkania z pisarzami, lekcje biblioteczne. Placówka podlega aż pod trzech mecenasów (Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Lublinie, jej oddział w Lubartowie, Urząd Miasta i Gminy), co zapewne nie ułatwia jej funkcjonowania. W



Stary i nowy Kock.

Fotografował Zbigniew Jaśkiewicz

czwartym kwartale roku brakuje już pieniędzy na zakup nowych asztek. „Od kiedy zakłady pracy wycofały swój patronat kultura stała się kosztownym interesem” — powiedział mi jeden z rozmówców.

Także w pałacu mieści się Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury. Swą działalność rozpoczął z rzadkim rozmachem. Powstał chór młodzieżowy, koło taneczne, Dyskusyjny Klub Filmowy, nawet kilka komputerowe. Do pałacu schodziła się młodzież, a mieszkańcy domu starców mogli znów znaleźć się w środku tętniącego życia. Wraz z przewlekłą chorobą animatorki „dziania się” dyrektorki ośrodka, wszystko przycichło. Nielatwo jest teraz o społeczników, więc naczelnik wciąż poszukuje godnego następcy dyrektorki. Kiedy dotarłem do pałacu, klub był już zamknięty. Kultura w ośrodku zakończyła swe urzędowanie o 15-tej. Funkcjonuje jeszcze tylko mały barek, w którym można wypić herbatę lub „Cisowiankę”.

Opuszczając pałac, będąc się wielokrotnie oglądał na białą fasadę wspaniałego zabytku, dumając z satysfakcją, że znowu się odrodził. Dzisiaj byłoby z tym o wiele trudniej.

Po lewej ręce mam teraz kościół i plebanie, która, zgodnie z kanonami ostatnich czasów, potężnie się rozrosła. Zachodzę do proboszcza porozmawiać o kockiej duszy. Zostaje przyjęty życzliwie, ale w kwestii rozmowy spotyka mnie odprawa. Może tu już nie chodzi o duszę? A może rzecz tkwi w jakichś niepojętych, odgórnym zakazach?

Zespół oświatowy i duża, duża rozmowa z dyrektorem Szkoły Podstawowej, aktywnym członkiem Towarzystwa Miłośników Kocka, zapalonym myśliciel, Romanem Wlazłym. Z oświatą nie jest chyba w Kocku najgorzej. Budynki nowe i funkcjonalne, prężne, jak się wydaje, kierownictwo. Szkoła Podstawowa i duży zespół szkół średnich — Liceum Ogólnokształcące, Technikum Rybackie (tylko dwa w Polsce), Zasadnicza Szkoła Rolnicza, Technikum Rolnicze dla pracujących. Niezłe wyniki dydaktyczne. Co robi wieczorami młodzież? Ano, przesiaduje w internecie, na stacjach, czasami przepaczeruje się po mieście. To moje spostrzeżenie. W czasie swoich wędrówek niewiele spotkałem młodych ludzi. „Czy coś się tu zmieniło przez ostatnie lata?” — pytam dyrektora. „Wszystko — słyszę w odpowiedzi. — Trzeba tu być, żeby to zauważyć. Pamiętam przychodnię, dawniej ośrodek zdrowia, w małym drewnianym budynku. A oświata; ma naprawdę znaczące osiągnięcia. Tyle, że takie działania uważa się za rutynowe, niejako oczywiste. Animacja kultury, zajęcia pozalekcyjne, jak wszędzie. Dawniej przyjezdny nie miał nawet gdzie zjeść obiadu. Funkcjonowała jakaś jedna, podejrzana melina. Dzisiaj stoi nowy hotel. I tak można by wymieniać. Dla kogoś, kto tu żyje, zmiany są widoczne”.

No właśnie, hotel, wraz z całym kompleksem gastronomicznym (restauracja, kawiarnia). W „Kameralnej” zawsze jest dobre piwo. Zakład podpisał niedawno umowę z browarem w Leżajsku. W okresie zmniejszonego natłoku prac polowych zasiadają nad kuflem od rana spragnieni mężczyźni. Pan Marian odwiedza lokal codziennie. Jego wejście zaznacza nieodmiennie nagłe uniesienie głosów.

Cały kompleks zaplanowany został na fall marzeń o masowej turystyce, w chwili, kiedy w kraju rozpełtała się gorączka motoryzacji. Zajazdy, moteli, odrestaurowane karczmy, wnętrza pokryte ciemną boazerią; ale z klientami „Kameralnej” mają pewne kłopoty miejscowi stróża porządku. Poza okresem letniska hotel stoi często pusty, w okresie wakacyjnej „wędrówki ludów” ma za mało miejsc, by pomieścić większą wycieczkę. Na wykazie opłat takie oto ogłoszenie: „Przechowanie psa lub kota w sezonie 100 zł, poza sezonem — 60”. Są odrębne ceny dla turystów z różnych obszarów płatniczych. Kompleks ten jest tu jednak bez wątpienia potrzebny. W godzinach południowych parkuje przed zajazdem wiele samochodów o różnych krajowych rejestracjach. Jedzą tu także posiadki kierowcy wielkich ciężarówek. A ja nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ta droga, przy której stoi „Kameralna”, długo jeszcze będzie stanowić dla mieszkańców swoiste źródło życiowej nostalgii. Czasami wyczuwałem w rozmowach te dalekie pragnienia zmiany.

Do Józefa Mitury, dyrektora Banku Spółdzielczego, przewodniczącego Towarzystwa Przyjaciół Kocka, powinieniem był trafić jak najszybciej. To pa-

sjonat i kopalnia wiedzy o mieście. To pasja narodziła się, jak mi mówi z gniewu i przekory Skierowany po studiach nakazem pracy do Rybnika, na słuchał się o swoim mieście obiegowych zarciaków Kock, jak i niektóre inne miasteczka, miał w owym czasie zdolność do budzenia dziwnych konotacji „Zginął jak Berek pod Kockiem” — mówiono; albo: „Mądry jak kocki cadyk” Kto tam dziś pamięta takie porzekadła. Ale wówczas owe przesławki były nader żywe. „Czy ich zanik to także nie pewien znak awansu cywilizacyjnego miasta?” „Na pewno. Dziś Kock kojarzy się z czym innym. Z ostatnią bitwą Września, choć przecież nie tylko. Tante dawne wspomnienia dziwnie jednak powracają. Już na szczęście nie w świadomości ogólnej, lecz w lokalnym wymiarze. Coś się ku nam czasami ten zaprzężył świat. Dawni mieszkańcy miasteczka lub ich rodziny przybywają głównie z USA. Ich pojawienie się budzi zawsze swego rodzaju lokalną sensację. Chodzą po ulicach, a potem na dawnym żydowskim cmentarzu odprawiają, kiwając się, swoje modły. To takie echo międzywojennej przeszłości. Żydzi stanowili tu wówczas 60 proc. ludności”.

Nawet idąc na nasze spotkanie, miałem kolejny ciąg dawnych kamieniczek, pełnych zakamarków, poddaszy, drewnianych, zewnętrznych schodów i „rabinówkę”, nakrytą dziwaczna, osmoloną czapą szczytowego ganku.

Wracamy do teraźniejszości. „Marazm? Nie ma w mieście zakładów pracy, które by w sposób zasadniczy wpływały na jego rozwój. Jest to zresztą sprawa bardziej ogólna, wykraczająca poza lokalne ramy. Potrzebne jest jakieś przebudzenie. Towarzystwo zawsze starało się poderwać ludzi do działania. Przy okazji różnych inicjatyw wielu mieszkańców deklaruje werbalnie swą pomoc, gorzej bywa jednak z realizacją, z rzeczywistą aktywnością. Mówiąc prawdę, do działania społeczne go oprócz chęci potrzebny jest teraz czas, a nawet właściwa pozycja materialna. To szczególna specyfika naszych czasów. Z jednym i drugim nie jest jednak najlepiej”.

Proszę dyrektora, by właśnie on zabrał mnie na cmentarz Kleberczyków. Opowiada o fascynujących relacjach z bitwy, które niedawno otrzymał. Po drodze mijamy wyniosły pomnik generała, na centralnym placu wiecowym miasta. „Usytuowanie pomnika jest wprost idealne — dowiaduję się. — Ślad właśnie z tego miejsca wyruszyło ostatnie natarcie Samodzielnej Grupy Operacyjnej Polesie”.

Cmentarz jest ogrodzony i zadbane. Opiekują się nim miejscowe szkoły. Na wysokich planszach mapy ilustrujące przebieg samotnej, wrześniowej bitwy. Obok tekst finalnego rozkazu generała: „Jeszcze Polska nie zginęła — nie zginie”. Widać kwiaty na grobowych płytach. Wielu żołnierzy okrestionych jest mianem nieznanych. To ci, przy których nie znaleziono „medalioń śmierci”. Na przedzie, jak przystało dowódcy, grób generała. (Zmarł w niemieckiej niewoli a prochy sprowadzono do Kocka w 1969 roku.) Zatrzymuje się jakiś autokar z łukowską wycieczką. Teraz oni przechodzą w milczeniu przed rzędami kamiennych krzyży. A po drugiej stronie szosy codzienność — Skład Magazynowy GS i duża, rozważniona kolejką za przydziałem węgla.

Wracamy do centrum. Rozmawiałem tutaj z wieloma ludźmi. Dziwią się, gdy pytam o jakość życia. Konkluzja jest nieodparta. Kierowniczka księgarni tak to ujmuję: „Kiedy wyjadę z Kocka do Lublina czy Siedlec i trochę tam pobędę, ogarnia mnie przy powrocie smutek, jakie życie tutaj jest ciasne; ale kiedy znowu tu trochę pomieszam, nacieszę się domem i rodziną, powraca do mnie spokój. Człowiek wszędzie żyje tak samo, jeśli potrafi żyć”.

To duża prawda.

Kock końca lat osiemdziesiątych XX wieku, choć ma dwie dusze, nie jest miastem zacofanym. Nazwałbym je miasteczkiem rozsądnych pragnień i właściwych ambicji. Nie ciąży już, jak niegdyś, ku południowej stronie, ku białemu pałacowi rozrosłemu wśród potężnych drzew; dzisiaj życie rozprządza się tu bardziej demokratycznie, rozciągnięte długą linią wzdłuż ruchliwej drogi. Podlegając tym samym lub podobnym bólom, niedostatkom i zmartwieńcom, które towarzyszą życiu każdego miejsca na ziemi, w większym może stopniu niż wiele innych zachowuje Kock swą spokojną, umiarkowaną nadzieję.

Zbrodnia bez motywu

ZUZANNA otrula dwoje własnych dzieci. Jak wielka musi być frustracja lub niezdolność właściwego odbierania świata, by pokonać najsilniejszy z ludzkich instynktów. A jednak.

W grudniu 1984 roku w małej wiosce Horodysko w województwie chełmskim miejscowa społeczność została zbulwersowana zbrodnią, dokonaną jakby wbrew naturze „Ona pohabiła nas wszystkie” — wołały miejscowe kobiety „Nawet lekarka z Chełma płakała” — wspominali mężczyźni. Dom, w którym dokonana się tragedia, obchodzony jest z dala. To lek. A przecież nic nie wskazywało na mającą nastąpić katastrofę.

28 grudnia, tuż po Świętach Bożego Narodzenia, kiedy to według obiegowej tradycji w ludziach osiedla się dobro, Zuzanna uśmierciła swego 6-letniego syna Mariusza i 3-letnią córkę Martę. Zbrodnię tę, jak stwierdzają świadkowie i dokumentują fakty, planowała od dawna. „Tak musiało się stać” — potwierdza bezustannie.

Zuzannę zawiódł los. W 1978 roku wyszła za mąż za Mariana B. Ich pożycie trwało tak naprawdę rok i kilka miesięcy. Jej rodzice sprzeciwiali się temu związkowi od początku. Ustąpili, kiedy okazało się, że Zuzanna jest w ciąży. Marian B. od wczesnej młodości miał konflikty z prawem. Marta poczęła się w trakcie jednego z jego krótkich pobytów na wolności. (Obecnie odsiaduje on kolejny wyrok za napad.) Kiedy zjawiał się w Horodysku, był agresywny. Nazywał alkoholem i w chwilach owej krótkiej wspólnoty bijal Zuzannę.

„Za mąż wyszłam z miłości — powie podczas przesłuchania, — Dopiero później go znienawidziłam”. Ten los, to osamotnienie, to pełne gorczy rozczarowanie stoi, jej zdaniem, u podstaw tego, co zrobiła.

Zuzanna, choć skończyła osiem klas szkoły powszechnej, do pracy nie poszła. Ostatnio zajmowała się wychowaniem dzieci. Źródłem utrzymania stały się alimenty wypłacane przez ZUS. Pomagali jej rodzice, u których mieszkała. Wobec braku realnych kłopotów domowych jej obsesją stał się brak towarzysza; życie bez mężczyzny okazywało się jałowe. Występując o rozwód z mężem, nawiązała dwa przypadkowe romanse, z których jeden wydawał jej się nadzieją. Z niego właśnie urodził się w areszcie śledczym syn Tomasz.

Owego tragicznego dnia Zuzanna pozostała w domu tylko z dziećmi. Czuli, że nadszedł właściwy moment. Przygotowała trzy buteleczki fermaactilu (leku przepisanego synowi, który to lek już od paru miesięcy przetrzymywała i o którym wiedziała, że przedawkowany powoduje śmierć). Dzieci nie chciały go początkowo pić ze względu na gorzki, nieprzyjemny smak. Prosiły o oranżadę. Wtedy matka nalala do szklanek słodkiego napoju i do każdej dodała fermaactilu. Po przygotowaniu tego roztworu z trzech buteleczki nalala leku do łyżeczek, podając dzieciom jako syrop. Bawły się chwilę, a potem poczuły się sennie. Ułożyła je więc w łóżku i przysiadła na jego brzegu. Uważnie obserwowała ich zachowanie. Po kwadransie stwierdziła, że córka przestała oddychać. Chłopiec nadal żył. Poruszał się w łóżku i drżał. Przedłużająca się agonia znieruchomiła Zuzannę. Scisnęła go za szyję i po chwili Marcin znieruchomiał. Wtedy Zuzanna przebrała się w świąteczny strój, przykryła dzieci kołdrą i udała się do sąsiada. Poprosiła tam o kieliszek wódki i zaczęła płakać. „Nie mam już dzieci. Tak się musiało stać” — powiedziała. Gospodarz załinygowany pobiegł do jej domu. Wraz z matką Zuzanny, która właśnie powróciła, odnalazł dwa zimne ciała. Wezwano pogotowie. Lekarz stwierdził zgon.

Przybyła na miejsce milicja zatrzymała Zuzannę.

„Nie potrafię wytłumaczyć, czy żywiłam do dzieci takie uczucie jak miłość — powie na rozprawie — Troszczyłam się i dbałam o nie. Można powiedzieć, że lubiłam swoje dzieci. Kochałam je. Nie wiem czy kochać i darzyć miłością, to to samo. O swoim przyszłym życiu różnie myślę. Sądzę, że gdybym miała przy sobie to nowe dziecko, żyłabym dla niego. Inne życie nie ma sensu. Nie potrafię powiedzieć, jakie było moje dzieciństwo, bo szybko je zapomniałam. Nie wspominałbym swojego dzieciństwa”.

Po zatrzymaniu poddano Zuzannę badaniu i obserwacji psychiatrycznej. Stwierdzono nieharmonijny rozwój funkcji intelektualnych, nadmierną pobudliwość emocjonalną, uleganie stanom depresji, egocentryzmu oraz fakt, iż w chwili popełnienia zbrodni działała w stanie ograniczonej świadomości. Objawów choroby psychicznej nie stwierdzono, co umożliwiło rozpoczęcie procesu. Orzeczenie to miało jednak znaczny wpływ na wysokość wyroku.

Pragnąc zrozumieć tę historię, nie sposób nie dostrzec wielu ciemnych plam. Może tylko kilkakrotnie, nieudane próby samobójcze Zuzanny mogą stanowić jakiś przyczynek do wyjaśnienia prawdy. Winny one z pewnością ostrzeżenie, że coś z nią nie jest w porządku. Jej rodzice to spokojni, poważni ludzie. Ojciec przeżył Majdanek. Zuzanna nie piła i zachowywała się na pozór normalnie. Tylko te samobójstwa. Prób tych było kilka. „Istnieje obawa, że nie poradzą sobie w życiu” — powtarzała często.

Sąd Wojewódzki w Lublinie skazał ją na łączną karę 10-ciu lat pozbawienia wolności i utratę praw rodzicielskich na zawsze w stosunku do najmłodszego syna. Rewizji nie było. Wyrok jest prawomocny.

Przed trzema miesiącami Zuzanna napisała prośbę do Rady Państwa o złagodzenie wyroku. Pisze w niej: „To, co się stało, to tylko jeden raz i na pewno zarazem ostatni w moim życiu. Nie wiem, co mi się zrobiło, że doszło do takiego nieszczęścia, ale na pewno to mi się więcej nie przydarzy już nigdy”.

Rada Państwa prośbę tę oddaliła.

Zbrodnię popełnioną w Horodysku określono w aktach procesowych jako zbrodnię bez motywu. Zuzanna od razu przyznała się do winy, nie próbowała uciekać, zrezygnowała z jakiegokolwiek obrony i od początku wyrażała skruchę. W czasie pobytu w szpitalu na obserwacji, a także w areszcie śledczym, próbowała popełnić samobójstwo. Próby te miały charakter demonstracyjny. Z podobnymi w przeszłości wiąże ona motyw swego zbrodnicego czynu. „Motywem mojego działania — powie — było to, że chciałam popełnić samobójstwo i dlatego podałam fermaactil dzieciom, żeby nie zostawić je sierotami”. Postępowanie śledcze nie podtrzymało jednak tego twierdzenia. Może więc po prostu dzieci stanowiły w jej odczuciu istotną przeszkodę w ułożeniu sobie życia na nowo.

Są w człowieku obszary wciąż jeszcze niedostępne poznaniu. Wypływające z nich działania oscylują zawsze na krawędzi poczytalności i zjawisk chorobowych. Granica do ustalenia jest tutaj płynna i oporna definiowaniu.

Marian B. nigdy nie widział swojej córki.

W 1973 roku, w małym amerykańskim miasteczku, w jednym z południowych stanów, niezwykle uzdolniony student Charles Lambert spędzał w domu wakacje. Pewnego popołudnia czytał w swym pokoju na górze „Zbrodnię i karę”. Kiedy skończył książkę, zdjął ze ściany ciężki sztucer, wszedł na dół do saloniku, gdzie rodzina oglądała telewizję, podszedł do matki, wycelował broń i nacisnął spust. Potem oglądali ojca i siostrę, by następnie zawiadomić policję i oddać się w jej ręce. Tak właśnie Charles Lambert popełnił zbrodnię bez motywu. Sąd stanowy uznał go poczytalnym i skazał na karę śmierci.

Wyrok wykonano.

Henryk Więclawski

TEATR — gigantyczny sierociniec. Dom dzieci specjalnej troski. A jednocześnie kolonia gigantów ducha. Skraj neurastenii i nierównowagi. Błądźca trzeba grać starannie, a brud czysto. Byłażkoż zaś trzeba grać ze szczególnym rodzajem perfekcjonizmu. O pewnym poecie mawiano, że za jego sprawą szpitala barwią się na błękitno. Teatr powinien być właśnie takim szpitalem barwionym na błękitno.

W teatrze trzeba pędzić, podążać szybciej niż biegnie piękno. Jak mówi pewien eleganci poeta — dzieło twórcy, który podąża szybciej niż piękno, wyda się szpetne, lecz on zmusi piękno, by je dogoniło i kiedy to nastąpi, stanie się ono już dostatecznie piękne.

Maria wspomniała dziewczynę, która statystowała w jej teatrze i należała do znanego chóru studenckiego. Wyjechali na występy do Włoch. Spiewali dla papieża w Castelgandolfo i potem przyjęli komunię. Gdy zobaczyła z bliska bardzo zmęczoną i zmartwioną twarz papieża, dla niej tak różną od twarzy ze zdjęć, przeżyła wielki, mistyczny wstrząs. Po powrocie znalazła się w klinice psychiatrycznej. Nie mogła dojść do równowagi po tym przeżyciu. Oto wielki, prawdziwy teatr życia. Raniące kobiety i mdlejący widzowie na widok Eryni w teatrze starogreckim, na pierwszym przedstawieniu „Orestes”. Wyrok sądu ateńskiego, który zabronił Ajchylowskiemu używania scen szokujących w trosce o zdrowie widzów. Oto wielki teatr — życie, oto wielkie życie — teatr. Pętać czy rodzić i wypuszczać w świat nowe Erynie? — oto dylemat teatru. Wampiry strzegą tego szarego miasta — oto obraz, który stanowił coraz częstszy i coraz bardziej dokuczliwy motyw jej snów w ostatnich miesiącach. Człiekopodobne wampiry w miastach, na które składają się niedbale rozrzucone, zabójczo do siebie podobne punktowce i bloki. To nie ona już śniła ten sen. To ten sen ją natrętnie i coraz bardziej nieublaganie śnił. Maria wiedziała z doświadczenia, że najbardziej agresywne sny miewała w czasach, gdy jej teatr martwił, kamieniał. W chwilach uskrzydlenia jej teatru sypiała spokojnie.

Lepiej uczyć się szczerka okrętu nie dlatego, że pragnie się przeżyć, ale dla próby zwyciężenia sił nocy, które pragną naszej zguby i zabierają nam naszych towarzyszy młodości — Magdalena przekonana była o głębokiej słuszności tych słów i dlatego w swoim artystycznym życiu rozglądała się za wciąż nowymi szczerkami okrętu, których można się uczyć w tych bez przerwy burzliwych czasach, lub w które można wierzyć jak w amulet.

Maria z różnym powodzeniem, ale trzymała się stołecznych teatrów.

Magdalena wybrała los cygański. Wędrowała po prowincji, z każdego małego teatru robiąc głośny ośrodek kultury.

Maria musiała w ciężkim znoju potwierdzać swoją pozycję. Miała tak zwany warsztat, kobieca intuicja wystrzeliła u niej zmysł intrygi, bardzo przydatny w tej walce.

Magdalena musiała promieniować i promieniowała z każdego miasteczka, które dosłownie i w przenośni wzięła w garść. Miała niewyczerpaną energię wiecznego pioniera. Lubiała wciąż zaczynać od nowa.

Są matkami bez dzieci. I są jednocześnie matkami o nieprawdopodobnej, nieograniczonej liczbie dzieci.

Kobietami bez swojego potomstwa. I kobietami, które tak liczny potomstwem mogłyby obdzielić wiele innych orędowniczek domowych ognisk.

Maria kurczowo trzymała się pewnej kamiennej wyspy na tym wzburzonym morzu. Magdalena rozglądała się za wciąż nowymi szczerkami okrętu, a że miała szczęśliwą rękę, trafiała na takie, które jak dobre amulety przynosiły jej sławę i powodzenie.

Aktorzy chcą mieć cugle. Nawet gdy się buntują, to chcą mieć cugle, byleby te cugle były ze złota, srebra, a w najgorszym wypadku brązu. Aktorzy — łowcy pięknych czynów, wielkich dokonań, a obok tego nader płaskich kombinacji. Trzeba wyczuć ten moment, gdy w teatrze wybiera szaleństwo, by w tej samej chwili zdobyć się na wielki i gorący czyn. Aktorzy najlepiej wiedzą, co to jest gorzyc trująca, a co gorzyc rodząca. Oni najlepiej wyczuwają różnicę między tymi dwoma rodzajami trucizny. Każdy aktor najboleśniej wie, że zmarnowany sezon to dla niego zmarnowany wielki oddech lub obietnica oddechu. Dlatego każdy dyrektor teatru musi bez przerwy, w każdej sekundzie, trwać po stronie życia — o tym wiedzieli doskonale Maria i Magdalena.

Dobrych ludzi potrafią sportretować jedynie najlepsi pisarze. Dobro potrafią zagrać tylko najlepsi aktorzy — o tym Maria wiedziała najlepiej. To odległe, mityczne nieomal dobro było najsilniejszą jej tęsknotą. To marzenie musi być równowagą w tym zawodzie, w którym okrucieństwo dla siebie i innych jest zasadniczym warunkiem i motorem działania. Wiedziała też, że kiedyś będą ją rozliczać nie tylko z tego, jakich miała aktorów, ale również z tego, jakich miała widzów. Powiedz, jakich miałaś widzów, a powiem ci, kim jesteś — może kiedyś usłyszeć to zdanie.

By żadna jesień nie zamieniła cię w starca — to była dewiza życiowa Magdaleny i dlatego chociaż brzydkiła się oczywistą amatorszczyzną, dopuszczała w swoim teatrze do głosu amatorską spontaniczność. Bazowała na świeżej krwi. I to było jej za każdym razem nowe, inne szariwari, bo tym zabawnie dźwięcznym słowem określała się brawuro-

wy, zespołowy występ kłownów na rozpoczęcie wielkiego widowiska cyrkowego. Do dobrego cyrku miała zresztą słabość jako do najbardziej wędrownego instytucji na świecie i jako do tego miejsca, w którym marzenie najciszej przepłata się z okrucieństwem, śmiech z łzą, tandeta ze sztuką, życie ze śmiercią. Dobry cyrk to nie byle jaki Szekspir.

Magdalena lubiła być dzieckiem. W mieście, gdzie stworzyła kolejny, głośny teatr, zorganizowała światowy festiwal teatrów ulicznych. Był to międzykontynentalny spód wiecznie gotowych do poetyckiej zabawy wielkich dzieci. Superdzieci. W ostatnim dniu odbył się ślub Anglika i Włoszki. Magdalena wypożyczyła w przedsiębiorstwie budowlanym wielki dźwig razem z operatorem, przewieźli ten dźwig pod Urząd Stanu Cywilnego i przy pomocy tego dźwigu wręczono młodej parze sto róż, które ofiarował za darmo jeden z miejscow-

wych badylarzy. Miasto uwielbiało Magdaleny. Zafundowała przecież mieszkańcom, chociaż na parę godzin, luksus powrotu do fantazyjnej krainy dzieciństwa. Jeśli nie wszyscy to sobie uświadamiali, to prawie wszyscy doskonale czuli. I nie robili jej zarzutów o rozrzutność i niepowagę w tych groteskowo smutnych czasach. Na koniec uczestnicy festiwalu zrobili wielki, wspólny spektakl na motywach „Małego księcia”, w scenerii starego rynku, na całej przestrzeni. I Magdalena była dyrygentem tego spektaklu. Nie reżyserem, ale właśnie dyrygentem, jak Kantor w „Umarłej klasie”.

Życie jest odbiciem teatru, a nie odwrotnie — Maria sprawdziła na sobie słuszność tego stwierdzenia. Pracowała w mieście, gdzie ulice były wielką sceną, na której działy się sprawy przypominające kroniki królewskie Szekspira. Pracowała też w teatrze, będącym miejscem wielu wydarzeń, w których zogniskowały się najgorętsze namiętności tego czasu. W stolicy dotkliwie prześladowała ludzi kompleksem cienia, przeświadczenie, że wszystko już było. Na prowincji jest mniejszy opór materii. I być może, tam najlepiej wiedzą o tej prostej zależności, że im gorzej na świecie, tym lepiej w teatrze, że im bardziej świat drży z nienawistnego lęku o swoje przetrwanie, to teatr staje się tym barwniejszy i że czas, osłabiając wiarę w stary świat, wzmacnia wiarę w jego teatr. Dziwne, że na prowincji o tym wiedzą najlepiej. Wbrew pozorom, z dołu lepiej widać. Lepiej i czasem ostrzej. Być dyrektorem teatru to znaczy być matką absolutną. Takiej matki absolutnej żądają aktorzy. I oni macochę od razu wyczują. Jej też wydawało się, że zmęczenie coraz częściej robi z niej macochę. Kiedyś gardziła aktorami niezdołnymi do buntu. Nie buntujący się aktor wydawał się jej szczególnie żalosa karykaturą. Teraz tolerowała jedynie rodzaj buntu — bunt sterowany lub zaprogramowany. To, co nie było buntowniczą pokorą lub pokornym buntem, nie wchodziło już u niej w rachubę. Tak przesiąkła swoim czasem. Żądała lojalności, choćby to była tylko lojalność zewnętrzna. Coraz bardziej zresztą nabierała się na te zewnętrzności. Sama nie dostrzegła tego momentu, kiedy zaczęła się sama oszukiwać. Ze zmęczenia? Z podświadomego lęku?

Magdalena lubiła rogate dusze. Sama była obciążona. Nabardziej lubiła aktorkę, która pięć razy buntowała się odchodząc z jej teatru i pięć razy do niej wracała. To było za każdym razem małe, wielkie zwycięstwo Magdaleny — bunt i powrót. I to było potwierdzeniem, że ma w sobie ten magnes. Podobnie było z młodym, obiecującym reżyserem, którego na początku siłą nieomal narzuciła zespołowi. Był nieokrzesanym i niechcianym dzieckiem tego zespołu. To było jej wielkie szczęście, gdy to przekorne, niechcelane dziecko zaczęło błyszczeć magicznym blaskiem prawdziwego artysty. I za sprawą tego przedstawienia, które miało pojechać na wielki festiwal do Caracas, znalazła się tutaj. Czuli się teraz dyrektorem wspaniałej, narowistej stadniny koni pełnej krwi.

Czy zawsze musimy odchodzić w pełnej niewiedzy, w poczuciu przegranej i w tej wielkiej, coraz bardziej paraliżującej wewnętrznej samotności? — myślała Maria, siedząc przed tym ministerialnym gabinetem. Przypomniała sobie jednego ze swoich ulubionych aktorów, który przeżywał teraz w skolimowskim schronisku, razem z mocno zniedołężniałą matką. Nieomal z dnia na dzień stracił pamięć. Żyje poza świadomością, nie poznaje byłych kolegów. Staremu synowi usługuje sędziwa matka goniąca resztkami sił i świadomości. Straszny, supernaturalistyczny teatr. Tak to życie jest odbiciem teatru, a nie odwrotnie — Maria coraz dotkliwiej przekonywała się o tragicznej wymowie tych słów. Ciężko jej było, gdy ktoś z aktorów stawał się byłym człowiekiem. Cierpiała bardzo. To były te momenty, gdy jeszcze na nowo stawała się

matką absolutną swojego teatru. Nie podejrzana macochą, ale prawdziwą matką absolutną.

Gdy się spotkały przed gabinetem dyrektora departamentu, wiedziały, że sama rozmowa będzie złym, udawanym teatrem.

— Dlaczego mnie zabijasz? Jakże mogę umierać w półmiechu? — rozbroił kiedyś Marię jej ulubiony, ale kapryśny aktor w momencie, gdy na próbie szykowała się gruba awantura.

„Dlaczego mnie zabijasz? Jakże mogę umierać w półmiechu?” — tłukły się te zdanki po głowie Marii. Patrzyła na Magdaleny z rodzajem macierzyńskiego podziwu. Wyrzuciła ją przecież kiedyś ze swego teatru, przedtem solidnie upokorzywszy jako młodego reżysera i to w obecności aktorów.

„Dlaczego mnie zabijasz? Jakże mogę umierać w półmiechu?” — Magdalena przypominała sobie te

Wielkie szariwari a potem Caracas, Caracas!

Edmund Pietryk

zdanka, popularne wówczas w teatrze Marii, w którym praktykowała tuż po ukończeniu studiów reżyserskich. Maria sama przeszła twardą szkołę u Wiernickiego i Schillera i ten sam twardy trening stosowała wobec startujących w tym zawodzie. Sama, będąc kobietą, nie wierzyła w dyspozycję reżyserskie kobiet. Stosowała wobec nich najwyższe wymagania. Uważała, że reżyser musi chociaż kilka razy przeżyć swoją zawodową śmierć by potem wyjść na ludzi. Dla tych, dla których pierwsza śmierć okazała się wieczna, nie miała współczucia. Dla słabych i przypadkowych w tym zawodzie była macochą bezwzględna, macochą absolutną.

— Witaj.

— Witaj.

Usiadły obok siebie. Wyjęły papierosy i to Maria, chociaż starsza, podała Magdalenie ogień. W ostatnich latach Maria wyraźnie się postarzała, Magdalena zaś mimo wszystko młodziła.

„...przechodząc przez pustynię, Mały Książę spotkał tylko jeden kwiat... Kwiat o trzech płatkach, nędzny kwiat...”

— Dzień dobry — powiedział Mały Książę.

— Dzień dobry — odrzekł kwiat.

— Gdzie są ludzie? — grzecznie zapytał Mały Książę.

Kwiat widział kiedyś przechodzącą karawanę.

— Ludzie? Jak sądzę, istnieje sześcioro czy siedmiu ludzi. Widziałem ich przed laty. Lecz nigdy nie wiadomo gdzie można ich odnaleźć. Wiatr nimi miota. Nie mają korzeni — to im bardzo przeszkadza...”

Na tym, osiemnastym rozdziale „Małego księcia” Magdalena zbudowała wielki spektakl, który kończył festiwal teatrów ulicznych. Była to zabawa i głęboko smutna rzecz o tym, że ludzie nie mają korzeni i byle wiatr nimi miota. Dlatego nie można ich odnaleźć. Każdego z przechodniów obdarowywano bajkowymi korzeniami, które miały chronić ich przed złym wiatrem. Po to, żeby jeden człowiek łatwiej odnalazł drugiego. Szary przybysze z tej bolesnej i obolalej rzeczywistości, przypadkowi przechodnie, z zadziwiającą łatwością poddawali się tej poetyckiej zabawie. Miasto uwielbiało Magdaleny. W dniach tego niezwykłego festiwalu czuła się matką absolutną tego miasta. Niezrealizowane kiedyś marzenie o doradnym macierzyństwie wybuchło u niej z nieprawdopodobną siłą. To marzenie kazalo jej sięgnąć po dyrekcję teatru, mimo początkowych klęsk reżyserskich. Takie to święto zgotowała mieszkańcom swojego miasta, w kraju, w którym tylko na krzyże nie może zabraknąć drzewa.

— Jedźcie do Caracas? — ni to spytała, ni to potwierdziła Maria, bo ona siedziała tutaj w nader prozaicznej sprawie. Tylko po to, by załatwić gażę ministerjalną dla trzech swoich podstawowych aktorów. Tylko pieniądze mogły ich przy sobie utrzymać. Tylko pieniędzmi. Mogła już tylko zazdrościć Magdalenie, która kleiła do siebie aktorów przy pomocy swojej magii. Jedną ćwiczyła się w macierzyństwie absolutnym. Druga powoli usychała, schodziła do roli macochy, która swoje przybrane, nieszczerze dzieci może utrzymać przy sobie tylko przy pomocy kolejnych podwyżek, musi kupować sobie swoje farbowane dzieci.

Byłam jej okrutną akuserką — myślała Maria, patrząc na Magdaleny. — Na próbach generalnych wywacałam do góry nogami całą jej koncepcję. Aktorzy szaleli. Jak ona to wszystko wytrzymała? Żelazna dziewczucha. Sama była wdzięczna Schillerowi i Wiernickiemu za bat niewolniczej dyscypliny, którym uraczyli ją na starcie do teatralnej kariery.

...potrzebny jest obrządek — Magdalena przypominała sobie słowa lisa z „Małego księcia”, które wygłaszał jeden z hiszpańskich, ulicznych aktorów. — Dzięki obrządkowi pewien dzień odróżnia się od innych, pewna godzina od innych godzin. Moi myśliwi, na przykład, mają swój rytuał. W czwartek tańczą z wioskowymi dziewczętami. Stąd czwartek jest cudownym dniem! Podchodzę aż pod winnicę. Gdyby myśliwi nie mieli tego zwyczaju w oznaczonym czasie, wszystkie dni byłyby do siebie podobne, a ja nie miałbym wakacji...

...ludzie zapomnieli o tej prawdzie. Lecz tobie nie wolno zapomnieć. Stajesz się odpowiedzialny na zawsze za to, co oswoiłeś. Jesteś odpowiedzialny za swoją różę” — te słowa z „Małego księcia” mówiła Magdalena sama, z wielkiego megafonu. Była dyrygentem wielkiej baśni. Do tej niezwyklej aktywności zmuszała ją potrzeba posiadania wielu dzieci. To był straszliwy, pożerający ją głód. Głód, który ją jednocześnie z każdym dniem od nowa budował. Stajesz się odpowiedzialny za to, co oswoiłeś. Czula się bardzo odpowiedzialna za to neurasteniczne stadko, które za każdym razem umiała od nowa oswoić.

Maria stosowała wobec swoich podopiecznych taktikę ręki. Jej matka miała kiedyś ogród. Co jakiś czas kupowała kurczaki z inkubatora. Umieszczała je w wielkim kartonie i lubiła patrzeć jak te kurczaki reagują na jej rękę, którą instynktownie utożsamiają z matką tułającą się do niej, lasząc. Ręka-matka. Ręka — macierzyńska forpoczta lub macierzyzny zwiad, zanim odsłoni się matka pełna, absolutna. Maria też wysuwała najpierw rękę i badała, które z tych nieopierzonych stworów potrafi się najaktywniej lasić, u kogo jest najwięcej tkliwego instynktu. Była ręką, bawiła się w rękę i powoli stawała się ręką-macochą. Pieniężmi trzymała wybitnych aktorów przy sobie a słabsi wydawali się jej upiorami, które próbują się nawzajem przerażać. Dla nich nie miała ochoty być nawet ręką.

Pszczoły pamięci, osy pamięci, trutnie pamięci — Magdalena wiedziała, jaką trucizną potrafi być pamięć. Dawno zapomniła o upokorzeniu, jakie przeżyła w teatrze Marii. Była ze swoją pamięcią na bieżąco. Wiedziała, że najsukutekniej można utrzymać zespół przy sobie obietnicą wielkiej przygody. Trzeba z tym cudownymi, prowincjonalnymi kłownami zrobić wielkie, brawurowe szarżowanie: żeby przebić się na egzotyczny festiwal w dalekim Caracas. W pierwszych latach samodzielnej pracy reżyserowała w pewnym małym teatrze „Pierwszy dzień wolności”. Trzecie przedstawienie po premierze odbyło się w więzieniu gdzie odsiadywali między innymi karę dożywocia niemieccy zbrodniarze wojenni. Aktorzy grali tę sztukę w tej scenarii z jakimś zabobonnym lękiem. Wydawali się przestraszonymi, bezradnymi dziećmi. Rozczulił ją wtedy. I w tej samej chwili poczuła, że ma wielką szansę, by stać się dla nich matką absolutną. Ten niesamowity spektakl „Pierwszego dnia wolności” w ciężkim więzieniu sprawił być może, to, że zaczęła starania o dyrekcję teatru. Zaczęła swoją wędrówkę wielką pogoń prowincjonalną, ale błyskotliwą wspinaczkę po spirali sukcesu.

Maria trzymała się twardo owego szczątka okrętu. Trzymała się jednego, stołecznego miejsca. Wdzięczała zbyt wiele tragicznych ucieczek. Na przykład wstrząsem dla niej była wiadomość, że poeta Arnold Słucki zmarł na ziemi niemieckiej. Ten poeta-Zyd o twarzy, na której wyryta była wewnętrzna udreka, kiedyś uciekający przed Niemcami, umarł na ziemi narodu, którego bał się panicznie. Nie chciałaby nade wszystko umierać na ziemi swego lęku.

— Przyjeżdż do mnie, Mario, wybierzemy się do domu Hauptmanna. Taką samą ruiną jak domek Szaniawskiego. Ta ziemia jakaś niełaskawa dla domów pisarzy — powiedziała głośno Magdalena, a w duszy dodała — dziękuję ci za ten bat na starcie do kariery, dziękuję ci za twoje okrucieństwo, dziękuję ci za hart.

Starość jest najbrzydszą decyzją podjętą w stosunku do człowieka — przypominała sobie Maria słowa jednego ze swoich aktorów, który miał prawo długo czuć się rasowym amantem. Skinęła głową.

Czasem wydaje mi się, że pamiętam swoje narodziny — pomyślała Magdalena. — A może Maria była tą okrutną akuszerką przy moich narodzinach jako teatralnej matki absolutnej?

Zycie ze mnie wycieka — pomyślała z lękiem Maria, przytłoczona obecnością żywej Magdaleny, która od czasu swego trudnego debiutu wcale się nie zestarzała. Są ludzie obdarzeni nawet słodkimi ranami — dodała w myślach, ale bez zawisnąć.

Drzwi do gabinetu otworzyły się. Sekretarka poprosiła Magdalene. Dwie dyrektorki teatru — jedna teatralna matka absolutna, druga zmęczona życiem, a nawet własną sztuką, macocha, pożegnały się.

Nie ma rzeczy doskonałych. Zycie jest jednostajne. Ja poluję na kury, ludzie polują na mnie. Wszystkie kury są do siebie podobne i wszyscy ludzie są do siebie podobni. To mnie trochę nudzi. Lecz jeśli bym nie oswoił, moje życie nabrałoby blasku — Magdalena przypominała sobie inny fragment tekstu, który zainscenizowała na zakończeniu wielkiego festiwalu teatrów ulicznych. Chciałaby uścisnąć Marię, ale byłby to zbyt egzaltowany gest. Weszła do gabinetu.

Maria mimowolnie się uśmiechnęła. Poczuła się zabójczą starą. Starość jest najbrzydszą decyzją podjętą w stosunku do człowieka. Znowu na moment poczuła się matką. Okrutną, ale matką. Ta wciąż dzielwająca kobieta wyszła przecież spod jej ręki. Trochę jej jednak zazdrościła tej barbarzyńskiej marzycielskiej sily przebiecia. Caracas! Wielki, daleki festiwal! Caracas!...

Spojrzałem w okno i było niespokojnie,
spirale z prążków dymu do góry szły i szły,
a mnie się tylko smyczek nieustający śnił
i jedna trąba grała. Głośno i najdostojniej.

I tyle róż za oknem, jakby się światy zbiegły,
więc uniesiony morzem na osiemnastej fali
rzuciłem partyturę tam, gdzie skrzypkowie stali
i byłem obcy wszystkim, milczący i odległy.

On milczał także. Płynę. Wysmukłe palce palm.
I jakieś smutno w sali tam, gdzie skrzypkowie stali.
I blask biblijny szedł i strumień płynął dalej,
aż walc się zmienił w szep. I szep się zmienił w śal.

Włosey? No tak, znajome. Ale skąd nagły wioir?
Jeszcze nie powstał z ziemi, a już był ponad stropem.
I nie wiem, kto mi wtedy rękę na ramie kładł,
bo nic nie usłyszałem, gdy usłyszałem: Szopen.

I Murzyn, proszę pani (rączki całują paniom),
za nic nie chciał wyjść z sali, bo wtedy smutno grał
i mówił, że jest synem nawróconej z Magdali,
więc chodził niepotrzebnie i mówił, że chodzi za nią.

Z kwiatów wynikał tylko nieustanny początek.
Wina pieniały bardzo, jakbym żeglował we śnie,
a później roznoszono na długich szypułkach czereśnie
i gasty światła kolejno: pierwsze, trzecie i piąte.

Mówilem wtedy: linie. Mówilem: linie rąk.
Smyczki od kilku chwil już były na przedłużeniu twojej dłoni.
Mijałem szósty atol. I brzmiał miedziany pong.
I chciałem oczy przed światłem — światła nie było — zasłonić.

Spojrzałem w okno i była ta godzina.
Na fali nawrót, drugi, znowu
i wiem, że gdybym nie zaczynał,
to by mi nie zabrakło słów.

Zygmunt Mikulski

BAL

KSIAZKI ● KSIAZKI ● KSIAZKI ● KSIAZKI ● KSIAZKI

Rzecz o twórczości K.A. Jaworskiego

DZIELO K. A. Jaworskiego, wielka praca, której dokonał w ciągu swego długiego żywota, budził rozmaite refleksje natury ogólnej, dotyczące pewnego stylu uprawiania literatury. Zakładał on niezwykle poważne traktowanie pisarstwa, jako ustawicznego doskonalenia rzemiosła, ciągłego czerwienia formy. Jest w tej postawie specyficzny rys klasycystycznego tradycjonalizmu, który sztukę słowa rozumie dosłownie, jako umiejętność dopracowywania się sprawności językowej, określonego kształtu tekstu. Ale ten model pisarstwa (właśnie ta nazwa jest tu najwłaściwsza), w którym mieszczą się też dokonania Jaworskiego, zakładał jeszcze coś, potrzebę wypowiedzenia się na wiele sposobów: poprzez wiersz, publicystykę, trud translatorski, czy też refleksyjny zapis własnej biografii. Powoduje to, że całość dorobku pisarza jawi się jako obfite wypełnienie pisarskiego powołania.

Od dawna już dorobek KAJ-a czeka na pełne omówienie. Zwłaszcza Lublin jest mu to dłużny. Otrzymałszy obecnie szkielet monograficzny W. Michalskiego „Kazimierz Andrzej Jaworski 1897—1973” (1985), książeczkę bardzo starannie wydaną przez Muzeum Okręgowe w Lublinie. W pierwszym rozdziale (Curriculum vitae) autor dał krótki zarys biografii Jaworskiego, uwypuklając to, co tak charakterystyczne dla konterfektu pokoleniowego wielu pisarzy wchodzących do literatury w okresie międzywojennym, zwłaszcza na prowincji, tej znakomitej — dodajmy — prowincji literackiej, jaką dysponował ów okres. To było zjawisko szczególnie interesujące. W środowisku pisarzy prowincjonalnych powstawała zupełnie nieprowincjo-

nalna literatura. Pisarze ci reprezentowali wysoki poziom intelektualny i decydowali jednocześnie o ambicjach kulturowych regionu. Inteligencja małych miast partycypowała w tym twórczo, jak również czuła się zobowiązana do unaktywnienia środowiska. Jaworski — nauczyciel, współredaktor „Reflektora”, wydawca w Chełmie, w nakładzie 1000 egz. swój pierwszy tomik („Czerwonej i białej kochance”, 1924), współtworzył Związek Literatów w Lublinie (1932), potem rozpoczęła wydawanie „Kamenu”. Jednocześnie patronuje związkowi i grupom młodzieżowym, animuje rozmaite przedsięwzięcia wydawnicze.

Michalski bardzo ciekawie i — co ważniejsze — obiektywnie omawia twórczość poetycką (rozdział II) i przekładową (rozdział III) KAJ-a. Przytacza różne jej oceny, wskazuje na główne motywy, kontekst tradycji poetyckiej, dostrzega proces ustawicznego doskonalenia warsztatu. O poezji twórcy „Kamenu” pisał — jak się okazuje — wielu wybitnych krytyków, ale najtrafniej ocenił ją J. Iwaszkiewicz: „Wiersze Jaworskiego są pięknymi wierszami. Dzisiaj, kiedy z radością powracamy do klasycyzujących wzorów, kryształowa czystość i naiwny desę meandrow Jaworskiego może się stać prawdziwą pociechą, może nas napędzić nową wiarą w niezniszczalność kształt poezji. Wersyfikacyjna zręczność i umiejętność zestawiania słów stawia Jaworskiego pośród wybitnych «klasyków» poezji polskiego ostatniego półwiecza”.

Rozdział IV książki Michalskiego zamyka rozważania o pracy redaktorskiej K. A. Jaworskiego. Jego „Kamena” to wydawnictwo

bez precedensu w XX-wiecznej historii polskiego czasopiśmiennictwa i czeka jeszcze na obszerną monografię Michalski w swojej pracy dobrze odczytując trzy główne punkty programu redakcyjnego pisma: otwartość dla rozmaitych postaw twórczych, preferencje literatur słowiańskich, postawę antyfaszystowską. Trzeba wyraźnie podkreślić, że powstałe pod piórem i z inspiracji Jaworskiego tłumaczenia poezji słowiańskiej i jej popularyzacja to rzecz bezcenna w najnowszej historii literatury, dzieło imponujące (ostatnio wykazały prace bibliograficzne i omówienia zamieszczone w „Studia Polono-Slavica-Orientalia”). Myślę, że gdyby próbować odpowiedzieć na pytanie, jakie zjawiska pochodzenia lubelskiego stanowią najcenniejszy wkład w literaturę polską naszego wieku, to przede wszystkim należałoby wymienić poezję Czechowicza, następnie bardzo ciekawy i oryginalny profil prozy wspomnieniowej i właśnie ów „słowiański” dorobek Jaworskiego, jego przekłady i program „Kamenu”.

Waldemar Michalski, świetny znawca literatury regionu, napisał potrzebną i interesującą, chociaż niewielką książeczkę. Należy się również uznanie wydawcy za bardzo staranną i dobrze pomyślaną pozycję edytorską. Trzeba więc zachęcić Muzeum Okręgowe do dalszych inicjatyw tego typu. Taką mini-monografię na pewno mogliby otrzymać na przykład — w pierwszej kolejności — Konrad Bielski i Waclaw Czaplowski.

Antoni Bednarek

kamena 7

Zwiedzić i swoje odmodlić

Marta Denys

JUŻ od mostu zobaczyli nadjeżdżający autobus. Przytupnęli ochoczo, jakby chcieli otrząść nogi z porannego smęczenia i chłodu. Stali bowiem dobrą chwilę, czując pod stopami pierwszy w tym roku mróz. Przez noc pozostawiało wszystko — płoty i drzewa, stodoły i psie budy, kioski i kraty w spożywczym, a nawet rower Zycha, co go przed domem porzucił. Kto nadchodził ze wsi, to jak w siwej aureoli. Tych z odległych przysiółków sąsiedzi podwozili furkami. Parowały więc konie i ludzie porannym szronem i wczorajszym snem.

Kierowca zrobił rundę przed GS-em i bdykając hamulcami zatrzymał autobus dokładnie przed starym Lipecim. Złośliwi zamamrotali, że on już od wczoraj tak czeka.

— Stary jest, ma czas, to lazi i robi, co chce — objaśniali jego niecierpliwość. Ktoś widział Lipeckiego poprzedniego dnia, jak stał tu, przyśkając pod pachą teczkę, gotowy jakby do odjazdu. Zresztą, kto go tam wie? Prześmiewka uciła nocą, zgrzytnęła dnem. Stary Lipecki jakby jej nie słyszał, wemknął cicho do wnętrza autobusu, a za nim inni.

Rejwach zrobił się, kiedy zaczęły wsiadać kobiety. Gramoliły się niezdarne, wyciągając ręce jak z topieli, obciążone siatkami i torbami.

— Oj, Zocha, oj, Stacha — wołały o pomoc, lecz ta nie nadchodziła, więc kierowca windował pasażerki sam na stopnie wozu.

Spod zadartych płaszczy i spódnicy wylaniały się ich nogi, grube i krótkie, lyskające różem i niebieskością nogawic.

— Oj, Jezusiuku — wzdychały zażenowane, nie mogąc złapać tchu i równowagi.

Miejsca w autobusie zajmowano tak po kościelnemu jakoś, po lewej chłopcy, po prawej baby, a z przodu kierownictwo — pani Helena z Koła Gospodyń i ludzie z GS-u.

Nikt się na razie nie rozplaszczal, nikt nie stawiał bagażu na półkach. Stały więc karnie u nóg swych właścicieli siatki i torby, flaszki wyciągające z nich szyje zatłkane gazecianym korkiem. Z pękatej torby poleciały jabłka i objęły się już tak do końca podróży. Nijak się było po nie schylić.

— No, to odjeżdżamy! — zawołał kierowca.

Kilka rąk podniosło się do czoł i ramion w pośpiesznym znaku krzyża, łamiąc zakręć palcami uroczystego malynka.

W tył uciekła ich wieś i most, a potem las i łąki. Autobus wjechał na główną szosę, ta była sucha i czarna, choć pobocza rozbielał szron. Od wschodu różowiło się jeszcze i smutło mgłą.

Jechali do Kodnia, by zwiedzić, co trzeba, i odmodlić swoje.

Biuro podróży dopisało im do programu Kraszewskiego w Romanowie, a ksiądz proboszcz na dokładkę drogę krzyżową. Nie zwyczajną taką, bo rzeźbioną przez jednego artystę z Białej Podlaskiej. Z powrotem mieli też wstąpić do sklepów w Parczewie. Każdy więc intensywnie przemysłował etapy tej podróży, a to muzeum i bazylikę z obrazem, a to drogę krzyżową i sklepy, musowo sklepy, aż ich zmógł krótki, podróży sen.

Stary Lipecki chłonał przesuwające się za oknem widoki.

— Też jest co oglądać — ślipnęła jednym okiem Janka od Kolasów — równo i równo. — Ale Lipecki patrzył dalej.

— O, tu nie zebrali wszystkich buraków — zamartwił się o nie swoje. — Jakże stogi wystawili — dziwował — że też wiatr ich nie rozwiał? O, zajął! Gdyby tak mieć fuzyjkę — zamarzył. Naganił kiedyś z ojcem panu dziedzicowi zajęte po bruzdach, kołatki mieli. Klap, klap — jakby je dziś słyszał. — Et — zachnął się od wspomnień Lipecki. I ani im się za to z ojcem zajęczy skok nie dostał...

Szosa wiodła teraz przez las, ale niedługo, bo znów pustomiorna ścieżka się po obu jej stronach.

Stanęli dopiero w Romanowie. Nim wyleżeli do drożdzy do muzeum resztę ciepła i drzemki, stary Lipecki już był w sukienkach ciapach i sunął ku salom, ale go kobieta pilnująca wystawy wycofała do sieni. Powtarzał więc półgłosem, jak przed egzaminem: Stara Baśń, Stach z Konar Chata za wsią, Saskie ostatki, Bajbuza.

— Ech, ty, Bajbuza — psykać na niego zaczęli ludzie z GS-u, bo przeskądzał słuchać, aż się sam z tyłu przy gablotach ostał.

Ciepło, cisza, miękkie ciapy i łagodny głos przewodniczki skołowali zwiedzającym wzrok i słuch. Kto słuchał, nie słyszał, kto patrzył, nie dostrzegał. Nie nawykli tak od razu do wszystkiego. Sunęli więc od gabloty do gabloty, książki mieszały im się z obrazami, te z fotografiami, nazwy z nazwiskami, tytułami. Gdybyż tak

wozów, to znaczy — wyjaśniał — z biur podróży, to i ze dwadzieścia kole grobli stało. Osobowych nie zliczyć, bo tyle się na gospodarskie podwórza najechało, wszystkie z zachodnią rejestracją — zawiesił głos.

— Z zachodnią — dziwili się od tyłu.

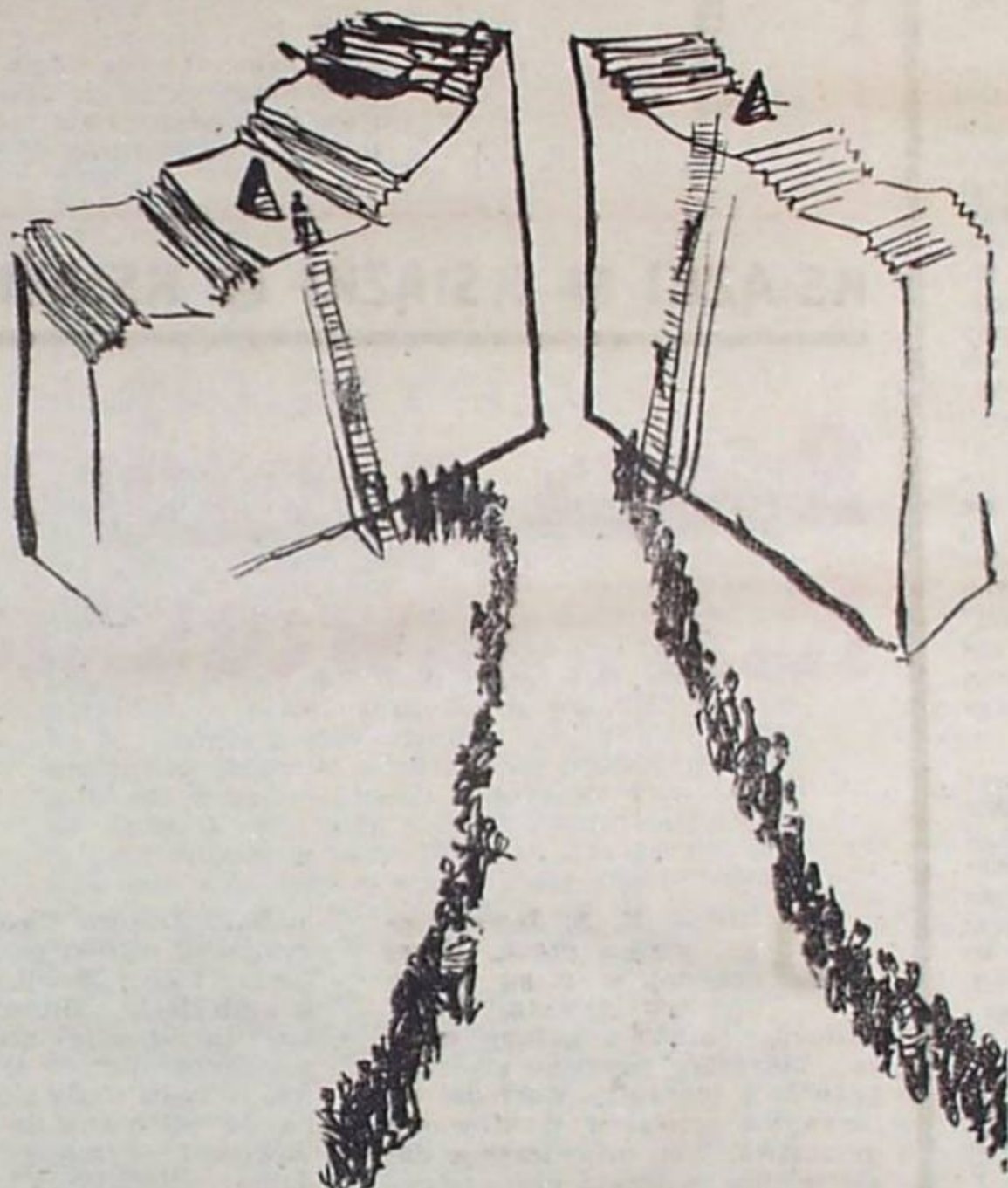
— No, tak, zielonogórska, szczecińska — śmiał się kierowca.

— No, no właśnie — potakiwali mu z pierwszych rzędów.

— I jak pięknie chór śpiewał — coraz to wylął coś z odpustowych wrażeń. — Gadałby wiele, ale już byli pod kofeńską bazyliką. Wysypali się żwawo przed bramę. Zaraz też nadszedł ksiądz z pękiem kluczy.

— Teraz będzie nabożeństwo, a potem z braciżkiem pójdziecie na drogę krzyżową — objaśniał.

Wnętrze bazyliki, jej odnowiona biel i złocenia onieśmieliły przybyłych. I znów — patrzyli nie widząc, słuchali nie słysząc. Ksiądz rozpoczął opowieść



Rys. Andrzej Bronikowski

odstawić to oglądanie, jak książkę, do następnego wieczoru?

Przed nimi był jeszcze kawał drogi. Ale jechali już raźniej, zawieszili płaszcze i kurtki w okien. Było gdzie głowę przyłożyć. Czapki tylko mieli co poniektórzy w rękach. Z nieśmiałości, czy jak? Gdzieś od środka autobusu kobiety zaintonowały z wysoka — „Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę świętą...”, chłopcy zaś z tyłu zabasowały dalej — „i wyrwij nas z potężnych nieprzyjaciół mocy” i tak już było do samego Kodnia, co kobiety z wysoka, to chłopcy zabasowały, co one z wysoka, to chłopcy zabasowały.

Nagle kierowca przyhamował i pokazał ręką:

— O, tu, widzicie tabliczkę? Strefa przygraniczna, a tam rzeka Bug.

— To już koniec — ni to stwierdził, ni to spytał któryś z GS-u. Kierowca skręcił w lewo.

— Patrzta, jakie domy — odkrywał ktoś inną, niż ich, podlubartowska, zabudowę.

— Musi same prawosławne, bo i krzyże mają inne.

— Co też gadacie — zaoponował Jankielak z GS-u. — Szwagra mam z tych stron, to mówi, że więcej tu naszych.

— No, pewnie — zgodzili się najbliżsi siedzący.

— A tu do Jabłecznej — kierowca zwolnił nieco i machnął ręką wskazując, tak, jakby mieli tam za chwilę skręcić. — Ludzi na odpust żem wozili, na świętego Onufrego. Naszych

Słowa mówiącego w parę się obracały. Wyszli więc rychło i zbliżyli ku rzeźbom.

— To pan Niewiadomski z Białej tak sam ze siebie to wszystko wyrzeźbił, miał ku temu swoje powody — objaśniał braciżek. — O, tutaj jest przedstawiona — zatoczył ręką półokrąg — cała martyrologia Polski: wojny, bitwy, powstania, zesłania, cierpienia i nadzieje.

— O, popatrzcie — ktoś już rozczytywał drewnianą kompozycję z bliska — maki spod Monte Cassino! I już nie słuchając, pokazywać zaczęli sobie symbole, postacie, napisy.

Braciżek podganiał zwiedzających ku stajom drogi krzyżowej.

— Rzeźby to, czy świętki bolesne w geście? Drewniane — dziwowali ludzie — a rdzawe, jak spłż? — Czy wystuchają ich nabożnych westchnień aby?

— A teraz idziemy nad Bug — zadysonował braciżek. Wszyscy ruszyli za nim, każdy bowiem chciał stanąć nad graniczną rzeką. Ścieżka przecięła park i wyprowadziła ich na pobrażone łąki. Prószyło już nieźle. Dopiero w lozach, posrebrzanych od rannego jeszcze szronu, zrobiło się ciszej. Bug sączył się szeroko, dając podmarzać pływom, chrupały więc pod nogami cienkim lodem. Najdalej wysunął się stary Lipecki. Wyjął z zanadru butelkę, opluknął ją i zacerpnął wody pod prąd rzeki. Braciżek znaczył krzyżem oba brzegi. Ludzie zamilkli, widąc każdy nad swoją w tym momencie myślą.

— Panie Lipecki, po co panu ta woda? — pytali już na powrót w autobusie.

— Na pamiątkę wnukom — odpowiedział.

— E, tam, wyleją do zlewu!

— Może i wyleją — zadumał się Lipecki. Dwa lata temu też im, wnukom, przywiózł wody z Bałtyku, żeby spróbowali, jaka jest słona. Wychlapali, jak to maluchy. Teraz podroili — kalkulował ich nieco doroślejsze rozumienie świata, ale kto ich tam wie, czy znów nie wyleją? — Nie — wycofał się z pomysłu Lipecki. Zostawi sobie wodę, będzie na po-kole-dzie, napisze tylko na butelce „woda z rzeki Bug w Kodniu”. Będzie, jak święcona...

— Nie pomyliła się, Lipecki, i nie wypija jej — zarechotał któryś z tyłu autobusu. Kierowca mrugnął porozumiewawczo do lusterka.

— Ty, Jopek, uważaj, żebyś się sam nie pomylił, jak twoja baba — odparował niespodziewany obrońca Lipeckiego. — W Świętej Lipce byli, tak jak my dzisiaj w Kodniu — perorował dalej — obrazki i kartki kupowali, do proboszcza wysłać chcieli. A Jopkowi mówi: Tu wrzuciłam kartkę do Jawidza, a gdzie się wrzuca do Kaznowa? Taka ci oblatana była!

— Trzeba jej było powiedzieć, że z drugiej strony — dorzucił ktoś z pierwszych rzędów.

— Nie mówta, nie mówta — rozjątrzył się inny — bo jak z waszej wsi jeździli do Gdańska, to jak poszli do teatru, to jeszcze szybciej wyszli, niż weszli. Też przez jedną babę. Siedli w rzędach, a pierwsze miejsce mieli, sztuka się zaczęła, a jedna z kobiet za chwilę wstała i na głos do reszty rzekła (nie tak było, panie Lipecki?!). Widzieliście, baby, te laki? No, to chodźta. Wstały wtedy baby — wyszły jak jedna. Tych na scenie aż zatkalo!

— Co się dziwicie — pospieszyła z komentarzem pani Helena z Koła Gospodyń — pierwszy raz kobiety widziały teatr. I co? Dzisiaj same śpiewają w moim zespole!

— No — potwierdził ktoś ze środkowych rzędów.

Kierowca włączył radio. Ciemno już było, kiedy dojechali na miejsce. Pod GS-em czekali już sąsiedzi z furkami, kilku mężów i dziećsika, jak zwykle ciekawe, co im matki kupiły.

Stary Lipecki postął, aż światła autobusu zniknęły za mostem i dopiero wtedy ruszył przed siebie.

Porzucony przez Zycha rower nabierał na się drugą warstwę szronu, podobnie jak płoty i drzewa, stodoły i psie budy, kioski i kraty w spożywczym.

Cztery godziny snu na dobę?

Skrócić noc, aby wydłużyć dzień — o tym od dawna marzy wielu ludzi. Pierre Fluchaire, specjalista od problemów snu, twierdzi, że jest to możliwe: on sam już od 30 lat sypia tylko cztery godziny na dobę. Dzięki tej metodzie zyskuje — jak twierdzi — jeden dzień na tydzień, jeden tydzień na miesiąc i jeden rok co siedem lat — bez żadnej szkody dla zdrowia. Oto fragmenty artykułu, jaki na ten temat ukazał się na łamach francuskiego „Le Figaro Magazine”.

GDY zostałem przyjęty z najwyższym wyróżnieniem do École Centrale — wspomina Pierre Fluchaire — wszyscy moi koledzy byli zdumieni. Nigdy bowiem nie widzieli mnie uczącego się. Moja tajemnica polegała na tym, że uczyłem się nocami. Wtedy właśnie odkryłem, że można sypiać tylko cztery godziny na dobę i nie odczuwać przy tym żadnych dolegliwości — wręcz przeciwnie.

Pierre Fluchaire, autor książki „Bien dormir pour mieux vivre” („Dobrze spać, aby lepiej żyć” — wydawnictwo Dangles, 1982 r.) i „La Révolution du sommeil” („Rewolucja snu” — wydawnictwo Robert Lafont, 1984), zapewnia, że jest to możliwe, bardzo łatwe do osiągnięcia i bezpieczne.

— Aby prześcignąć moich kolegów z Centrale — opowiada Pierre Fluchaire — musiałem znaleźć sposób, którego jeszcze nikt nie stosował. Wygrałem, skracając sen za pomocą kilku bardzo prostych „sztuczek”. Od 30 lat sypiam tylko cztery godziny na dobę, a w ciągu dnia uzupełniam braki krótkimi okresami regeneracji. Czuję się dzięki temu o wiele lepiej. Zresztą nie jestem w tym odosobniony.

Istotnie, metodę tę stosuje wielu wybitnych przemysłowców, polityków, dziennikarzy, artystów i naukowców, którzy niejednokrotnie zwierali się, że sypiają bardzo mało, przy czym niektórzy są zwolennikami „małych drzemek”, jak np. Jacques Toubon, który twierdzi, że kładzie się spać o drugiej w nocy, a wstaje o szóstej rano. „Ale — dodaje — zasypiam natychmiast, gdy znajdę się w jakimś pojeździe, czy to w pociągu, czy w samochodzie, czy w samolocie. Potrafię wyłączyć mechanizm w każdej chwili i na nowo nalaadować baterie.” To samo potrafił robić premier Jacques Chirac.

Czy krótki a jednak pokrzepiający sen jest jedynym z sekretów „superludzi”? Pierre Fluchaire jest o tym absolutnie przekonany. Oczywiście powołuje się przy tym na przykłady z historii, a przede wszystkim na przykład Napoleona, który potrafił zasypiać „na komendę”.

— Wszystko zaczyna się od przyswojenia sobie dobrego snu — mówi Fluchaire. — Ale proszę nie myśleć, że jestem wrogiem snu. Przeciwnie! Jest to bardzo ważna funkcja, ale trzeba znać jej podstawowe prawa. Przede wszystkim trzeba wiedzieć, że nasz sen dzieli się na fragmenty (cykle), a każdy z tych cykli dzieli się z kolei na okresy snu bardzo lekkiego, lekkiego, głębokiego i bardzo głębokiego oraz snu „paradoksalnego”, nazwanego tak, ponieważ w tym momencie, kiedy śnimy, nasz mózg budzi się z otępienia, aby przejść do prawdziwego stanu wrzenia, wyższego niż stan czuwania. Trzeba następnie pamiętać, że każdy z nas ma typowy dla siebie czas trwania cykli. Przeciwnie cykl ten trwa około stu minut. Cykle „mało sypiających” wynoszą ogółem niespełna sześć godzin, natomiast cykle „śpiochów” trwają ponad dziesięć godzin. Należy też pamiętać, że aby dobrze spać, trzeba utrafić na właściwy moment. Tutaj też każdy z nas ma swój własny rozkład jazdy, a godzinę nadejścia „pociągu” sygnalizują bardzo wyraźne znaki, jak piasek w oczach, opadanie głowy, poziewanie itp. Wtedy trzeba w porę wsiąść do „pociągu” lub też czekać na następny, czyli na nocny cykl. Te określone pory, które można łatwo rozpoznać, są takie same przez całe życie. Wreszcie nie należy nigdy budzić się w środku cyklu, wtedy bowiem można wstać „lewą nogą”. Dopiero po zakończeniu ostatniego cyklu, po ostatniej fazie snu „paradoksalnego” następuje to, co nazywam „triumfalnym przebudzeniem”.

Trzeba tutaj odnotować, że jakkolwiek niektórzy uczeni nie aprobują drogiej Fluchaire’owi teorii „pociągów”, istotna część jego wypowiedzi nawiązuje do najnowszych odkryć dokonanych w laboratoriach snu działających na całym świecie, a zwłaszcza w laboratorium profesora Jouveta w Lyonie i profesora Dementa w Kalifornii.

O dwa kroki od Łuku Triumfalnego, w swym małym gabinecie pełnym uczonych książek i hipnogramów, Pierre Fluchaire przedstawia „swoją” metodę, która pozwala wykreślić z życia cały cykl snu, czyli zyskać około dwóch godzin w ciągu doby, przy czym ten skrócony sen charakteryzuje się, jak twierdzi nasz rozmówca, doskonałą jakością.

— Gdy znamy czas trwania cykli, „godzinę nadejścia pociągu”, możemy stopniowo pomniejszać każdą noc o cały jeden cykl. Trzeba przede wszystkim kłaść się spać o 20 minut później niż zwykle. Jest to jedyny przypadek, kiedy można „rozbić” cykl, ale to jest nieuniknione. Nie będziemy więc mieli „triumfalnego przebudzenia” i na razie równowaga nasza w ciągu dnia będzie zachwiana. Trzeba będzie poczekać tydzień lub dwa, zanim się wszystko ustabilizuje. Potem trzeba będzie znowu skrócić noc o 20 minut przez tydzień lub dwa i tak dalej aż do całkowitego skasowania cyklu. I tak np. w wypadku stuminutowego cyklu trzeba powtarzać całą operację pięć razy co może trwać pięć do dziesięciu tygodni. W wypadku cyklu dwugodzinnego, i jeśli okresy odstępów i nawyków są wyjątkowo długie — np. trzytygodniowe — będzie to oznaczało sześć razy po trzy tygodnie, czyli dla definitywnego zyskania cyklu potrzebny będzie okres czterech i pół miesiąca. Nie wolno jednak podejmować tego eksperymentu w okresie przeciżenia fizycznego lub

psychicznego. Ponadto owe zyskane 20 minut trzeba poświęcić na coś określonego: na jakieś hobby lub na jakieś zajęcia, zawsze dotychczas odkładane z braku czasu. Słowem, trzeba mieć dobry sen i wyraźnie określoną motywację. Jeśli się spełni te warunki, wszyscy — z wyjątkiem przypadków patologicznych — będą w stanie oszczędzić sto minut, zachowując przy tym dobrą kondycję.

— Czy można mniej spać i nie odczuwać tych okropnych „załamań” w ciągu dnia? — Pierre Fluchaire odkrywa teraz swe ostatnie karty:

— Badacze zauważyli, że w trakcie budzenia się ludzie odczuwają to, co Amerykanie nazywają „microsleeps”: są to bardzo krótkie, kilkusekundowe momenty, kiedy nasz mózg emituje fale zbliżone do fal lekkiego snu. W istocie, te bardzo przelotne zaśnięcia są znakomicie regenerujące, jeśli się je akceptuje. Samotni żeglarze, pozbawieni snu, dobrze znają to zjawisko, skoro mogą w ten sposób wypoczywać podczas sztormów. Ja twierdzę, że trzeba wykorzystywać te „microsleeps”, które nazywam „sommell-flash”, a które moi przyjaciele nazwali złośliwie „sommell Fluch” (od pierwszej części nazwiska Fluchaire). W ciągu dnia nie odmawiamy sobie, gdy tylko jest to możliwe — oczywiście nie wtedy, gdy prowadzimy samochód — tych krótkich, kilkusekundowych drzemek. Proszę mi wierzyć, to ma bardzo dobroczynne działanie. Nie wahajmy się też aplikować sobie od czasu do czasu „przerwy na parking” w hotelu lub w zatrzymanym na chwilę samochodzie. Możemy też przyjmować „pozycję woźnicy” — z głową pochyloną do przodu i rozłożonymi ramionami. Po takiej 20-minutowej drzemce będziemy w doskonałej kondycji, nawet jeśli w nocy spaliśmy tylko 4 lub 5 godzin.

Rewolucja w... łóżku

Pierre Fluchaire żyje w ten sposób od 30 lat. Czy jest on jednym z owych „mistrzów snu” jak prezydenci Stanów Zjednoczonych, zwłaszcza Truman i Kennedy, którzy, po „przeszkoleniu” u lekarza specjalisty w Białym Domu, sypiali tylko kilka godzin na dobę?

— Tylko niespełna 10 procent dorosłych ludzi sypia mniej niż sześć godzin — mówi pani doktor Odile Benoit, jedna z najlepszych we Francji specjalistek od zagadnień snu. — Liczy się jednak przede wszystkim pewna regularność i rozsądna ilość snu zależnie od osobowości każdego człowieka. Jak to ustalić? Najlepszym sposobem jest samoobserwacja. Największy sukces laboratoriów snu polega na tym, że uczą one ludzi obserwowania siebie samych. Jeśli się chce ograniczyć sen, nie należy go skracać więcej niż o pół godziny na tydzień lub na 10 dni. Wszystkie doświadczenia wykazały, że naprawdę niezbędny sen trwa pięć i pół do sześciu godzin na dobę. Poza tą granicą ilość podlega wahanom. Jest ponadto jeszcze sen „luksusowy”, czyli sen, który się „wybiera” i którego można się wyrzec. Sen „flash” jest dobrze znany wojskowym, gdyż utrzymanie stanu maksymalnego czuwania jest dla nich kluczowym problemem.

— Dzięki naszym badaniom mogliśmy obliczyć moc regeneracyjną krótkich faz snu — małych drzemek („microsleeps”) — zależnie od niedoboru snu — mówi dr Roger Henane, kierownik badań wojskowej służby zdrowia. — Ustalono nawet wzorec matematyczny, który pozwala opracować optymalny program aktywności i snu w toku intensywnych operacji. I tak np. po 48 godzinach ciągłej działalności dwugodzinną sjeść pozwala dodatkowo uzyskać dziesięć godzin aktywności!

Dr Odile Benoit mówi ze swej strony, że naukowcy badają obecnie problem sjeści, która, jak stwierdzono, jest „rytmem podstawowym”.

— Między dwunastą a trzecią po południu wszyscy odczuwają spadek wydajności — stwierdza dr Odile Benoit. — Jeśli w tym czasie kładzie się ludzi na tapczanach i każe się im zamknąć oczy, 80 procent spośród nich przejawia skłonność do zaśnięcia. Organizm wykazuje pewne załamanie w środku dnia. Niepraktykowanie sjeści w świecie zachodnim może być uznane za błąd biologiczny.

Wracamy do wojskowych, a mianowicie do ośrodka badań i studiów w zakresie medycyny kosmicznej, gdzie dr Milhaud, kierownik badań, z zawodu weterynarz i biolog, pędzi żywot pośród całej gromady małych przeznaczonych do dyskretnych doświadczeń. Wśród jazgotu małych dowiadujemy się, że sjeść to „rzecz naturalna”.

— Prowadzimy szeroko zakrojone prace, aby zrobić sobie dokładne pojęcie o skutkach braku snu — mówi dr Milhaud. — Zauważyliśmy, że w ciągu dnia nasze małe rezusy, a więc z gatunku, którego struktura snu jest bardzo zbliżona do struktury snu człowieka, robią sobie pauzę między godziną dwunastą a czternastą. Ich aktywność zmniejsza się,

występują objawy senności, mały zapadają w drzemkę. Jest to więc coś, co przypomina sjeść.

Ograniczenie snu o jeden cykl, zrekompenzowanie tego „niedoboru” za pomocą „microsleeps” i małych sjeści „zrehabilitowanych” obecnie przez wszystkich badaczy — oto magiczna recepta Pierre Fluchaire. Ale czy uczniowie czarnoksiężnika nie zapłacą zbyt wysokiej ceny za swe doświadczenia?

— Wiele osób, które w wieku 50 lat wykazywały spadek aktywności i szybciej odczuwały zmęczenie, dzięki tej praktyce odmłodziło się o 10 lat i odzyskało odporność z okresu, kiedy miały 35 lub 40 lat — mówi Pierre Fluchaire. — Twierdzono, że jest to cudowna terapia. I to prawda. Ta terapia praktycznie umieszcza pacjenta poza zasięgiem zmęczenia. Uważa się na ogół, że ludzie bardzo aktywni różnią się od innych, ale ci ludzie po prostu „żyją w inny sposób”. Trzeba zdemistyfikować ten rzekomy ich dar polegający na umiejętności bardziej inteligentnego gospodarowania swym życiem, a zwłaszcza snem.

Na kilka lat przed Fluchairem Amerykanin Everett Mattlin również zbadal te niezwykle dziedzi (Sypiać mniej i żyć lepiej” — wydawnictwo Belfond 1979 r.). Na podstawie przykładów kilkudziesięciu doświadczeń medycznych Mattlin wysnuwał wnioski, że „stopniowe ograniczenie snu może się okazać skutecznym sposobem zmniejszenia o godzinę lub dwie czasu całkowitego snu i może trwale zmodyfikować nawyki i potrzeby w zakresie snu”. Everett Mattlin podjął w istocie zadziwiające stwierdzenie prof. Mangalore Paia, brytyjskiego eksperta w sprawach snu, który powiedział: „W procesie ewolucji człowieka zapisane jest, że będzie on sypiał coraz mniej, w miarę jak będzie znajdował powody, aby pozostawać obudzonym”.

Czyżby więc długi sen był anachronizmem ewolucji? Niektórzy badacze zaczynają w to wierzyć, a przyłącza się do nich Pierre Fluchaire, który swą „Rewolucją snu” (ponad 100 000 sprzedanych egzemplarzy) kończy taką oto niepokojącą prognozą:

„W roku 3000 wszyscy będą umieli praktykować w ciągu dnia sen „flash”, którego zresztą nauczą się w szkole. Ten „microsleep” zastąpi częściowo obecny sen nocny. Ale będzie to tylko pierwszy krok w kierunku dalszego, bardziej decydującego i fantastycznego postępu, który polegać będzie na

całkowitym wyeliminowaniu snu. Wielcy specjaliści już dzisiaj mówią, że sen jest funkcją przestarzałą, która miała rację bytu kilka tysięcy lat temu. Nie mogąc z powodu ciemności nic zrobić w nocy, człowiek musiał z konieczności przerywać wszelką działalność i aby uciec przed strachem, wyłączał swoje zmysły i czujność. Ale od tego czasu odkryto ogień, a zwłaszcza wynaleziono elektryczność. Nie ma już powodów do strachu, sen stał się anachronizmem i jeśli śpi się jeszcze w nocy, to wyłącznie z przyzwyczajenia”. Stąd formuła Abrahama Weinberga, wybitnego specjalisty amerykańskiego: „Potrzeba snu, którą uważano za podstawową, jest obecnie kwestionowana”. Stąd też formuła Michela Jouveta, który jest we Francji wyrocznią w sprawach snu: „Zastanawiam się czasami, czy sen jest naprawdę potrzebny”. Warto też zacytować brytyjskiego badacza, dra Raya Meddie, który powiedział: „Według mojej teorii, sen nie spełnia żadnej funkcji podstawowej dla współczesnego człowieka i przynajmniej w zasadzie można się bez niego obyć i żyć szczęśliwie”.

Historia zna wiele przykładów słynnych ludzi, którzy sypiali mniej niż pięć godzin na dobę — poczynając od Wergilusza i Horacego, a kończąc na Bernardzie Shaw czy Harrym Trumanie (nie zapomnijmy o Napoleonie, który, jak już mówiliśmy, zasypiał „na komendę”). Benjamin Franklin nie zmógł snu i sypiał po dwie godziny na dobę. Edison zaś pisał: „Ludzie jedzą dwa razy za dużo i śpią dwa razy za długo. W rezultacie chorują i nie wykonują swoją pracę”. Ten uczoney uważał, że sen jest „fatalnym” dziedzictwem po epoce prehistorycznej i liczył na to, że elastyczność (którą upowszechnił dzięki wynalezieniu żarówki) położy kres tej „aberracji”.

Jak twierdzi Pierre Fluchaire, noc jest porą, kiedy najlepiej funkcjonuje prawa półkula mózgowa, siedlisko intuicji, syntezy, twórczości. W nocy — mówi Fluchaire — Einstein odkrył komputer, Fleming stworzył penicylinę, Rutherford „urzął” skład atomu, Gauss przewidywał prawa indukcji, Mendel objawił prawo dziedziczenia, a Mozart skomponował „Czarodziejski flet”.

W świecie zwierzęcym można zaobserwować, że niektóre stworzenia na pozór nie sypiają w ogóle — jak np. wieloryby, antylopy, żyrafy, słonie, a także albatrosy, które mogą latać 30 do 50 dni bez odpoczynku.

Zdaniem niektórych badaczy, ten pozorny brak snu może być zrekompenzowany przez kilkusekundowe drzemki. Delfin np. zasypia na krótki czas przemiennie — raz wyłączając prawą półkulę mózgową, a raz półkulę lewą.

Wielka sztuka w Pacanowie

W PRZYSŁOWIOWYM Pacanowie kozy kują i Pacanów z tego słynie, ale prócz tego trafiają się tam natchnieni artyści piszący wiersze czy malujący obrazy i tsiłujący dorzucić swoje trzy grosze do wielkiego skarbcza światowej kultury. Tymczasem w wielkoświatowej sztuce panuje teraz podobno kryzys. Jest to jakby nowy kierunek sztuki, który pozwala na wszystko i akceptuje ochoczo utwory wtórne i po prostu byle jakie. A kryzys na prowincji jest taki sam jak w Paryżu, w związku z czym niekoniecznie trzeba wyjeżdżać nad Sekwanę, żeby być modnym i na czasie.

Prowincja bardzo chętnie „uprawia” kryzys. Osobiście znam wielu mistrzów malujących białe kwadraty na białym tle w pięćdziesiąt lat po Malewiczu. Ktoś powie, że Malewicz osobiście przecież do każdego grajdołka dotrzeć nie mógł, więc wyręcza go tam bezinteresowny entuzjasta. Nie brakuje też tam artystów — powiedziałbym — wielofunkcyjnych. Pisze taki, maluje i komponuje operę, o której nawet jego żonka nie chce słyszeć. Dobrze jeszcze, że nie buduje lokomotywy. No cóż, w dawnych czasach magnaci też łapali wiele funkcji i stanowisk.

W stosunku do kultury prowincjonalnej obowiązują dwie zasady. Pierwsza z nich głosi, że każde zajwisko, dosłownie byle co, piąta woda po kisielu, jest cudowną niespodzianką, objawieniem, bowiem na bezrybiu i rak ryba. Dlatego każdy chętny od razu wyrasta na mistrza, przynajmniej magistra. Taki magister-artysta nie musi niczego odkrywać, niczego osiągać, nie musi nawet nic robić, żeby w swoim Pacanowie być Leonardem da Vinci.

Druga, wręcz katońska zasada głosi, że wszędzie obowiązuje ten sam maksymalizm estetyczny. Takim maksymalizmem jest właśnie mój serdeczny przyjaciel, Józef K., który pisze powieści, poematy, opery, a do tego maluje obrazy niewarte splunięcia, jak twierdzą jego zajadli wrogowie udający życzliwych rezonerów. Nawet jednak wrogowie przyznają, że wielkość Józefa K. polega na tej pazernej wszechstronności, na totalnym szaleństwie, co już jest niewątpliwym osiągnięciem. Jednak Józef K. nawet jako wariat nie zadziera nosa.

Wszyscy jak zawsze mają swoją rację, przynajmniej od czasu do czasu. Józef K. na przykład sypie swoimi racjami z szybkością kulomiotu i jest postrachem każdego kulturalnego dyskułanta. W razie czego potrafi też walnąć pięścią w stół, co też ma swoją wymowę. A jednak trudno nie kochać poczciwego Józefa K., nawet wtedy, gdy wyskakuje ze skóry.

Janusz Olezak

„Cudzoziemka”

WYDANA w 1936 r. „Cudzoziemka” była — jak stwierdziła kiedyś jej autorka — „refleksem i transpozycją dzieł matki” Marii Kuncewiczowej, Róży Adeli z Dziubińskich Szczepańskiej. Owej niezwyklej kobiety — zapoznanej, rokojącej wielkie nadzieje skrzypaczki, której kariera została zwichnięta przez splot okoliczności, ale także, częściowo, przez nią samą; nieprzebieżnej osobowości, duszącej się w atmosferze mieszczańskiej, codzienności rodzinnej; żony niekochanego mężczyzny, wciąż nie mogącej zapomnieć swej pierwszej, wielkiej, młodzieńczej, odrzuconej przez innego — miłości.

Wiecznie zbuntowana, niezadowolona ze wszystkiego, wszystkich oskarżająca o swe życiowe niepowodzenia, oschła, tyranizująca męża i dzieci — jakby w odwecie za nieudane życie — Róża pozostaje ciągle „cudzoziemką”. Owa „cudzoziemskość” jawi się nie tylko w życiu osobistym bohaterki książki Marii Kuncewiczowej. Róża, jak wielu jej rodaków, którzy, wychowani gdzieś w głębinach Rosji, dokąd losy rzuciły ich rodziców czy nawet dziadków, w kulcie polskości, w nadziei, że Polska musi zmartwychwstać, znalazły się wreszcie w owym wymarzonej, młodym, odrodzonym państwie, czuje się w nim — o paradoksie! — obco. Prawdziwe życie było rozpięte gdzieś tam daleko, pomiędzy stołecznym, cesarskim Petersburgiem, a owianym stepowymi wiatrami Taganrogiem, skąd spoglądało się z rozdartym sercem na umęczoną, popowstaniową Warszawę... W tym aspekcie „Cudzoziemka” jest nie tylko doskonałą powieścią psychologiczną — obyczajową, ale także książką o, sui generis, polityczno — obyczajowym nachyleniu, czego wielu krytyków literackich wydaje się jakby nie zauważać.

„Cudzoziemka” stała się z miejsca czytelnym bestsellerem oraz sukcesem artystycznym młodej wówczas autorki. Maria Kuncewiczowa otrzymała za nią w 1937 roku Nagrodę Literacką Miasta Stołecznego Warszawy (z rąk prezydenta Starzyńskiego), w tym samym roku przyznano pisarce Złoty Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury.

Po dziś dzień „Cudzoziemka” cieszy się ogromną popularnością, i to nie tylko wśród polskich czytelników. Przetłumaczono ją na kilkanaście języków (w Anglii wznawiano czterokrotnie, we Włoszech — trzykrotnie); pozostając powieścią bardzo polską, jest zarazem dziełem uniwersalnym...

Rzecz ciekawa, że literaturą Kuncewiczowej jako tworzywem dla kina zaczęto się interesować późno. Pierwszą sięgnęła po nią telewizja; powstała wówczas adaptacja „Cudzoziemki” z doskonałą kreacją Róży w wykonaniu Haliny Mikołajskiej. (Sprawdził się również na scenie teatralnej monodram, napisany w oparciu o tę powieść)

KRONIKA KULTURALNA

W redakcji wrocławskiego miesięcznika „Odra” rozstrzygnięto konkurs na debiut w dziedzinie reportażu, artykułu publicystycznego i felietonu poświęconego współczesnej problematyce kulturalnej. Z przyjemnością odnotowujemy, że wśród laureatów znaleźli się lublinianie. Główną nagrodę otrzymał Piotr Bartyś za esej o twórczości Stanisława Lema pt. „Świat dzisiejszy”, a Grzegorz Filip zdobył wyróżnienie za pracę pt. „Nie znam się”. Publikacja plonu tego konkursu rozpocznie się w najbliższym, grudniowym numerze „Odry”.

Sygnalizujemy czytelnikom propozycje repertuarowe lubelskich scen, które można będzie oglądać w najbliższym czasie. W Teatrze im. J. Osterwy trwają próby czterech sztuk. Andrzej Rozhin reżyseruje jaśnelka Lucjana Rydla „Bellejem polskie”, nie grane na lubelskiej scenie od 70 lat. Premiera zapowiadana jest na koniec grudnia. Na małej scenie Paweł Lizut pracuje nad dramatem Aleksandra Gelmana „Laweczka”. Ten znakomity dramat obrazujący współczesne życie zwyczajnych ludzi w ZSRR grany jest od kilku miesięcy w warszawskim Teatrze Powszechnym i

cieszy się ogromną popularnością. Ponadto Teatr im. Osterwy proponuje wkrótce przedstawienie „Głosew umarłych” Iredyńskiego, w reż. B. Czajkowskiego i „Poobiednich Igraszek” R. Mahieu w realizacji J. Gierczaka.

Lubelski Teatr Muzyczny ma powsechnie wiadome kłopoty lokalowe. Niebawem, w połowie stycznia, czeka go przeprowadzka w związku z remontem budynku, gdzie pracuje obecnie. Ale kłopoty lokalowe nie stopują pracy. W przygotowaniu nowe przedstawienie „Madame Dubarry” Millöckera.

Interesujące wystawy można oglądać w najbliższym czasie: w galerii BWA czynna jest ekspozycja malarstwa Jarosława Łukawskiego oraz wystawa grafiki, malarstwa i rysunku Adama Styki z Warszawy. Natomiast w galerii „Desy” przy Krakowskim Przedmieściu wystawia swoje pejzaże St. J. Łazarek. Również w „Desie” można oglądać (a także nabywać) srebrną biuterię Ewy Kamińskiej.

Trzydziestolecie swego odrodzenia (stała już bowiem przez kilka lat przed wojną, z udziałem m. in. Kazimierza Andrzeja Jaworskiego) obchodziła chelmska grupa literacka „PRYZMATY”. Z tej okazji urządzono specjalną sesję jubileuszową, na której głównym referentem był Jacek Kajtoch. Przedstawił dzieje i dorobek grupy „Przmaty”. Ponadto Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej wyróżniło grupę odznaką „Zasłużony dla

Województwa Chelmskiego”. Natomiast Złoty Krzyż Zasługi otrzymał długoletni członek grupy Kazimierz Steczuk, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski — Konstanty Prołoga, a Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski jeden z założycieli grupy, a także współczesny animator życia literackiego i kulturalnego w Chelmie — Longin Jan Okoń.

Pisaliśmy niedawno w „Kamieniu” o powstaniu i działalności Teatru Studyjnego. Kolejną ważną inicjatywą Ośrodka Sztuki Estradowej to powstanie Lubelskiego Teatru Rozrywki. Scena przy ulicy Świerczewskiego 13 staje się miejscem, gdzie zaczyna się zdarzać wiele interesujących imprez. Inauguracja działalności Lubelskiego Teatru Rozrywki odbyła się z udziałem Ireny Santor, gwiazdy piosenki i stylu splewanita chyba już niemodnych, wciąż jeszcze chętnie słuchanej.

Z przyjemnością informujemy, że uczniowie lubelskich szkół muzycznych często odnoszą sukcesy na arenie ogólnopolskiej, a także europejskiej. Arkadiusz Koltun ze szkoły im. K. Lipińskiego, z klasy prof. Jana Walewskiego zdobył ostatnio IV nagrodę II Ogólnopolskiego Konkursu Klarinetowego. Z tej samej szkoły dwójka skrzypków: Joanna Kurkiewicz i Artur Konowalik została członkami Międzynarodowej Orkiestry „Jeunesses Musicales”.

(w)

Lubelskie lata Edwarda Stachury

Dokończenie ze str. 3

znaleźć możesz takie [...] ciche miejsca przy kanałach wieczorem, że bardzo ci brak towarzysza — stuchacza — wdzięcznego, i ja to wczoraj wieczorem bardzo wyraźnie odczułem, kiedy przechadzałem stopy swoje i zamyślenie wzduż kanałów. [...] Sted kończył „korespondencję” słowami: Posyłam Ci więc wiele wesela i list ten weselny chyba, i chciałbym tak samo następne co jakiś czas, co dwa, trzy tygodnie chciałbym do Ciebie taki list, w którym myśli moje i wrażliwości, i różne w różnych miastach patrzenia, a także umiejętność pisania mojego — nie wiem jakiego, ale nie fałszywego.

Już w następnym numerze „Kamienia” podwójnym, sierpniowym, znalazł się kolejny „list”. Drogi

mój — pisał Stachura. — Miejscowość nazywa się Krzyże, a ja cały jestem zachwycony. Jest to wieś jedna z tych zagubionych między jeziorami Nidzkim wielkim, wspaniałym i lasami nie mniej. Ale jezioro jest bez porównania. Pod niebem błękitnym migoce słonecznie i nieprzebrane i ma się wrażenie, że niebo jest niewiele większe od niego. [...]

Ależ tak...! Ten „list do przyjaciela” to ziarno, z którego miało wykiełkować znane opowiadanie „Jak mi było na Mazurach”: Miejscowość nazywała się Krzyże, a ja cały byłem zachwycony. [...] — ze zbioru „Jeden dzień”.

Na obydwie „listy” zdecydował się odpowiedzieć „Mistrz”, Zygmunt Mikulski, zamieszczając w tymże numerze tekst zatytułowany: „Nie mniej drogi!”, i podpisując go pseudonimem „Attikus”. W końcowej części rozwiódł się dość sarkastycznie na temat Stedowego pisania:

[...] Twój język Twoja niby zachwycająca bezpośrednią tkanką doznania antyskładnia, użyta w

tej paradoksalnej postaci dla ocalenia „natury” przeżyć, rzekomo wymaturzonych, kiedy przechodzą przez filtr gramatycznych prawideł. Modne. Autor pisze antypowieści, więc u nas trzeba pójść jeszcze dalej i kombinować (za sprawą Gombrowicza), co w rodzaju antyjęzyka. [...] Czasem aż zdumiewa to rozumienie naszych potrzeb estetycznych ze strony najgłupszej gałązki czeremchy. Metafora, anafora, elipsa — a to po prostu pachnie. Potrafisz? Najgorzej żyć ci tego twój — Attikus.

Wrzesień przyniósł w „Kamieniu” opowiadanie Stachury — „Dwa hotele”, a połowa listopada (nr 21, z 15 XI), jeszcze jeden jego „list” — zresztą, ostatni już — w którym m. in. Sted próbował bronić swoich racji, tak frontalnie zaatakowanych przez Zygmunta Mikulskiego. Ale, trzeba przyznać, szło mu to dość niesporo; miał jeszcze zbyt mało zręczności potrzebnej polemice, i zbyt mało doświadczenia, aby wytrącić „Mistrzowi” z ręki broń: odpowiednio „wyeksplikować” swoje, lub „zanieglegować” — jego argumenty.

(dokończenie nastąpi)

Mirosław Derecki

Z przeszłości Lublina

Miłośnik muzyki

TRZYDZIESCI pięć lat temu, w listopadzie 1951 r., zmarł nagle lekarz, dr medycyny Józef Ossowski.

Ukończył on studia w Akademii Medycznej w Kijowie, następnie, jako specjalista chorób uszu, gardła, nosa i krtani, od 1911 r. do 1914 r. był ordynatorem kliniki w kijowskim szpitalu wojskowym. Wolny czas spędzał zgodnie ze swymi zainteresowaniami: uczęszczał na opery, koncerty symfoniczne, uwielbiał operetkę, interesował się wszystkim, co miało związek ze sztuką sceniczną. Po rewolucji wrócił do kraju i osiadł w Lublinie, otwierając tu gabinet lekarski przy Krakowskim Przedmieściu 58. Znakomita fachowość, rzetelność wykonywania zawodu i serdeczność wobec chorych, zyskały mu liczne rzesze pacjentów.

Były trudne lata dwudzieste, dr Ossowski często nie tylko nie brał honorarium za wizytę od ubogich pacjentów, ale jeszcze dawał im pieniądze na lekarstwa.

W Lublinie poślubił wdowę p. de Belfort; dla jej małej córki, Ireny, stał się najczulszym drugim ojcem. Dom pp. Ossowskich rozbrzmiewał śpiewem, bowiem Irenka miała piękny głos i uczyła się u znakomitej śpiewaczki i pedagoga Stanisławy Korwin-Szymanowskiej (siostry Karola Szymanowskiego).

W latach 1934-35 powstała w Polsce „Ormuz” — organizacja mająca na celu upowszechnianie muzyki w szkołach średnich i powszechnych. W akcji tej brała udział elita muzycznego świata Polski. Prof. Korwin-Szymanowska wciągnęła młodzieńką p. Irenę



to zapoczątkowało kontakty artystów przyjeżdżających do Lublina na koncerty z domem pp. Ossowskich. Każdy spośród nich znajdował gościnę w mieszkaniu doktorostwa. Kontakty przeradzały się w przyjaźnię...

Przyjeżdżali: Ewa Bandrowska-Turiska, Wanda Wermińska, Eugenia Umińska, Henryk Sztompka, Stanisław Szpinalski, Jerzy Lefeld, Kazimierz i Maria Wilkomirscy i wielu innych znakomych muzyków i śpiewaków, a także aktorzy filmowi. Dr Ossowski udzielał światu artystycznemu porad

bezpłatnie. Leczyli się u niego Jadwiga Smosarska i Eugeniusz Bodo. Oto Bodo tak zadedykował zdjęcie ofiarowane dr. Ossowskiemu w 1938 r.: „Gniewam się, jestem oburzony na Doktora za nieprzyjęcie biletów. Cauję Doktora, ściskam Doktora za przywrócenie mi możliwości operowania głosem. Czuję się świetnie. Jeszcze raz dziękuję — wdzięczny »były ochrypłak« E. Bodo”. Stanisława Korwin-Szymanowska, której p. Irena była ulubioną uczennicą, na programie swego koncertu napisała: „Drogi Pannie Ireczce, mojej milej pociesz, na pamiętkę — St. K. Szymanowska Lublin 1934”.

Nadszedł wrzesień 1939 r. a po nim bolesny okres okupacji. Kontakty artystów z domem pp. Ossowskich nie zerwały się, a przeciwnie — nabrały „charakteru bardziej bliskiego, niemal rodzinnego, zespalać wspólnie nasze dążenia i wysiłki w kierunku ocalenia od zagłady”, jak pięknie napisała do p. Ireny — Eugenia Umińska. Dom pp. Ossowskich „pękał w szwach”. W każdym zakamarku mieszkania był ktoś przygarnięty, chroniony, żywiony. Często gośćmi stali się przebywający w okresie okupacji w Lublinie: jeden z najwybitniejszych kompozytorów, Artur Malawski, oraz znakomity pianista, późniejszy laureat V nagrody na Konkursie Chopinowskim w 1949 r. — Władysław Kędra. W domu doktorostwa odbywały się tajne koncerty muzyki polskiej. Z Warszawy wpadali muzycy, zatrzymywali się na nocleg, a na odjeździe pp. Ossowskich obdarzali ich polemami boczkami, słoniny czy kiełbasy, co w tym czasie stanowiło rarytas. I nagle w ten opiekunowy dom uderzył cios: w maju 1944 r. zmarła żona doktora, p. Ossowska.

W lipcu nastąpiło wyzwolenie i Lublin, pierwsza stolica wolnego skrawka Polski, zaczął tętnić życiem kulturalnym. Przyjeżdżali artyści, którzy cudem przeżyli Powstanie Warszawskie. W sali Towarzystwa Muzycznego występowali światowej sławy muzycy: pianiści — Stanisław Szpinalski (uczeń Paderewskiego), Aleksander Wielhor-

ski, Henryk Sztompka; śpiewacy — Ewa Bandrowska-Turiska, Jerzy Garbda, Wiktor Bregy; skrzypaczki — Irena Dubiska i Eugenia Umińska i wielu innych. Mieszkanie dr. Ossowskiego znów zapełniło się gromadą dawnych i nowych przyjaciół. W Lublinie powstał Teatr Muzyczny wystawiający najpiękniejsze operetki. Dr Ossowski był jego częstym bywalcem. Dyrektor Teatru, Kazimierz Dembowski (słynny tenor przedwojennych operetek w Lwowie i Wilnie), przeznaczył mu stałe, bezpłatne miejsce w pierwszym rzędzie. W czasie przerwy dr Ossowski przychodził za kulisy zawsze gorąco witany, przynosił słodycze. I tak nawiązały się jego przyjacielskie kontakty z młodymi artystami operetki. Doktor czuwał nad ich strunami głosowymi, leczyl — oczywiście bezpłatnie — gdy zachodziła tego potrzeba. Uroczą primadonną operetki, Wanda Pawlikowska, dedykowała mu swe zdjęcie: „Kochanemu Panu Doktorowi Ossowskiemu za wiele okazanego mi serca — Lublin 1948”. Pierwszy tenor Teatru Muzycznego, Jerzy Golfert, napisał na ofiarowanym zdjęciu: „Drogiemu Panu Doktorowi Ossowskiemu, wielkiemu przyjacielowi śpiewaków i aktorów — Lublin 1948”.

Nadszedł listopad 1951 r. Nie nie zapowiadało tragedii. 71-letni dr Ossowski czuł się świetnie, przyjmował w swoim gabinecie pacjentów. Śmierć nastąpiła nagle...

Eugenia Umińska w liście do p. Ireny pisała: „Nie mogę pogodzić się z myślą, że ten zawsze uśmiechnięty anielski człowiek zeszedł z tego świata”. A oto fragment listu Wandy Wilkomirskiej: „Cóż można mówić po tak wielkiej stracie dla Ciebie i dla wszystkich tych ludzi, z którymi stykał się Jasny. Pogodny i gołym sercu, z nieporównywalną wiedzą lekarską Pan Doktor”. Henryk Sztompka depešował: „Pełen bólu i smutku ołym sercem jestem z Panią”. Płynęły listy i depeše. W kondukcje pogrzebowym żegnał doktora Ossowskiego cały Lublin. Odszedł znakomity lekarz, miłośnik sztuki, wspaniały Człowiek...

Sławomir Litwiński

Muzyka młodzieżowa

Sting

WSRODOWISKU rockmanów uchodzi za nieszkodliwego dziwaka. Nie używa alkoholu, nie pali marihuany, uprawia czynnie sport i sporo czyta mezej lektury. Pozostaje też wierny jednej wybrance serca. Sting, bo o nim mowa, postawił przed laty na perfekcję i dopił swego. Nie interesowała go nigdy pozycja średniaka. Zawsze marzył, aby być pierwszym. Tak było w okresie sposobienia się do zawodu muzyka estradowego i w zespole Police, który stworzył w 1976 roku wraz z perkusistą Curved Air — Stewartem Copelandem i gitarzystą Henri Padovanim. Rychło okazało się, że jest przywódcą duchowym trójki, głównym kompozytorem i wiodącym wokalistą. Zadziwiał głosem i wrażliwością na dźwięk. Tworzył na przekór wszystkim „zakreconą” muzykę, która nie przystawała do niczego, czym karmiono dotąd zwolenników rocka. I właśnie dlatego zapisał się w pamięci słuchaczy. Prawdziwą sensację wywołał w czerwcu 1985 roku, kiedy wydał nagrane w studiu Eddiego Granta przedziwny album „The Dream Of The Blue Turtles”.

Album Stinga był szokiem dla wielu nastawionych tradycyjnie koneserów. Do jego realizacji zaprosił bowiem nie kolegów z Police, z którymi nie kontaktuje się od paru lat, lecz wytrawnych muzyków z kręgu jazzu — Omara Hakima z Weather Report, Darryla Jonesa ex-basistę samego Milesa Davisa, „klawiszowca” Kenny’ego Kirklanda i brata sławnego w świecie Wyntona saksofonistę Brandforda Marsalisa. Wraz z nimi nagrał szalenie wyrefinowane tworzywo. Znalazło się w nim miejsce dla stricte jazzowej ballady („Moon Over Bourbon

Street”), radosnego reggae („Love Is The Seventh Wave”), wspaniałej parafrazy Prokofiewa („Russians”), inzynjnego kawalka w stylu Police („Shadows In The Rain”) i nastrojowego protestu przeciwko wojnie („Childrens Crusade”).

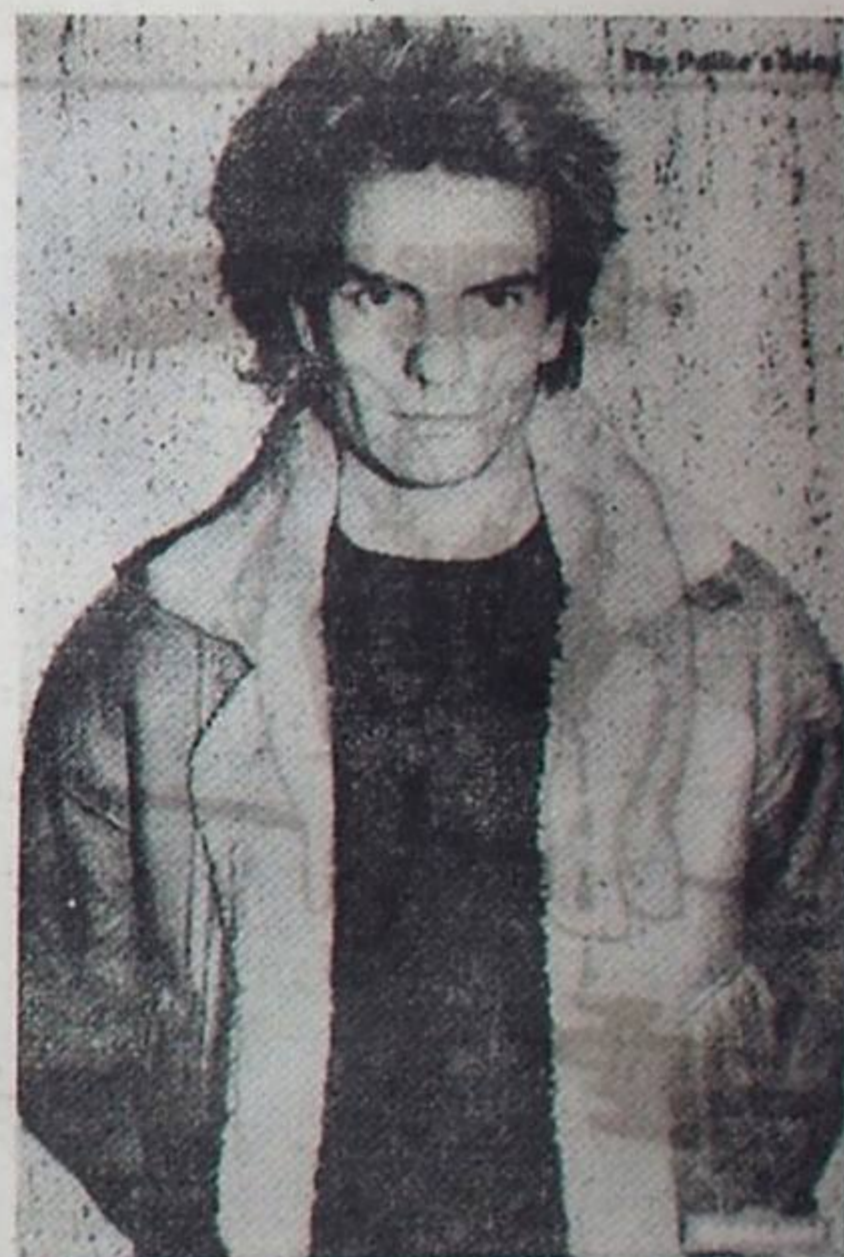
Sting najwyraźniej założył sobie, że oisni słuchaczy i skłoni do wielokrotnego słuchania materiału dźwiękowego, różniącego się zasadniczo od ulatwionego popu Wham, Limahla i Madonny. Udało mu się to wyśmienicie.

Ogromne powodzenie wspomnianego albumu zachęciło Stinga do organizacji światowego tournée z towarzyszącymi mu w studiu muzykami. Tournée było mamucie, miało gorące przyjęcie, a jego rezultatem jest podwójny album „Bring On The Night”, od kilku miesięcy określany jako sensacja fonograficzna ostatniego sezonu. Dopiero w bezpośrednim kontakcie z publicznością słychać, jakie siły drzeźnią w tym muzyku, jak potrafi się dopingować i czarować nieprzeciętną zdolnością tworzenia nastroju. Koncertowego dysku Stinga słucha się z nieklamana radością. Tyle tu smaczków i cudownych zagrań, iż można by nim obdzielić kilka wystrzałowych wydawnictw.

Nie jest tajemnicą, iż oprócz działalności muzycznej, której poświęca najwięcej energii, przejawia też znaczną aktywność w dziedzinie filmu. W pewnym momencie odkrył w sobie predyspozycje do gry aktorskiej i do tej pory dziewięciokrotnie stawał na planie filmowym.

Nieprzeciętny twórca potrafi zdobyć się na dystans do tego, co robi na co dzień. Zapytany przez publicystę dwutygodnika „Rolling Stone”, co sądzi o swoich piosenkach, odpowiedział:

„Całe moje życie jest w moich utworach. Oczywiście nie dosłownie, lecz w formie pewnego archetypu. Wiele osób pyta mnie, jaki jestem. Ja odbieram siebie jako osobę skomplikowaną. W głowie kłębi mi się wiele dziwnych rzeczy i czasem jestem zły na siebie, iż nie potrafię zavrzcć tego wszystkiego w piosenkach. Wiele moich kompozycji niejako sobie zaprzecza. Często gram dwie role —



z jednej strony posępnego fatalistę, z drugiej — lekkoducha i wesolka. Widać to chyba też na mojej solowej płycie. Obserwatorom z zewnątrz moje piosenki mogą wydać się abstrakcyjne. Kiedy sam je słucham, wiem na pewno, że są o mnie i moim życiu”.

Istvan Grabowski

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopicowski (zastępca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium redakcyjnego oraz Marta Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasicki (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator), Lidia Wojcik. Redaktor techniczny — Ewa Gypke, korektor — Barbara Caban. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych zastrzeżenie sobie prawa skrótu. W sprawach literackich przysługują interesantom skrótki w dniach 14-14. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKW w Lublinie ul. Unicka 1. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 6, tel. 335-30. Adres redakcji: 20-028 Lublin ul. Skłodowskiej 2/1. Telefony: sekretariat — redaktor naczelny i za redaktora naczelnego 348-95, sekretarz redakcji 348-63, dział publicystyki i literacki 375-35. Korrespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-050 Lublin skrytka pocztowa 331, poleczne i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 3232 25.11.86 r. F-4

Poziomo: A ablativus ■ mieszanka C ciężar pracy ■ miasto w woj. zamojskim ■ Persja E edytor ■ rozgorzeje z iskry ■ dalekie słońce G plan dzieła pisanego lub przemówienia ■ taniec pld-amerykański ■ twór zwierzęcy lub roślinny zdolny do samoodtworzenia, I straż przyboczna panującego ■ ziemniaczane odpadki ■ szmata do wycierania K dyscyplina lekkoatletyczna ■ przeciwuderzenie ■ owoc południowy N uzupełnia wiedzę do egzaminu ■ polityka utrzymywania w zależności krajów słabo rozwiniętych.

Pionowo: 1. pobudka działania ■ rodzaj nietoperza, 3. państwo europejskie, 4. drzewo iglaste ■ rzadkie dziś grzyby 6. psie dziecko, 8. jeden ze zmysłów ■ leżebnik ■ góry w Ameryce, 10. najdoskonalszy okaz ■ insygnium władzy monarszej, 11. nadkonijski krewniak żyrafy, 12. daleko od Rzymu ■ germańskie istoty między bogami i ludźmi, 13. przyprawa kuchenna, 14. płynne tłuszcz roślinny lub mineralny ■ strona w księgowości, 16. materiał opatrunkowy ■ linka lub drążek do ciągnięcia uszkodzonego pojazdu ■ opłata za przejazd przez rogiatki, 18. prowadzenie statku lub samolotu, 20. zespół ■ rysownik francuski, autor „Stworzenia świata”, 21. kolekcja, 23. rów — jedno z najgłębszych miejsc oceanu ■ ogłoszenie stanu gotowości.

SZYFR
E9 C2, C7, E2, J18, I3, A6, C20, I12, J23 / C11, K16, A3, E20 / G5, K10, M22, C17, I18, D8, J4, A17, C23, I8, M4, D14, C6, E21, M8 / H8, I5 / G13, C21, G19, G8, E7.
Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczta 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy boni książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 23 Z SZYFREM

Poziomo: skarpeta, Łoziński, mężczyzna, sprzęgło, domownik, nawalnica, analiza, boćwina, Atma, Łaba, prog, noga, rząd, żleb, aria, ceza, zapadka, Przyboś, uszczelka, ostaniec, Rosjanki, Hiszpania, ćwiartka, Morcinek.

Pionowo: sesja, złość, norma, Adria, patki, Legia, pręgi denar, zanik, Amon, aga, ucha, Antares, ściana akcyza, sygnał czekan, cębrzyk, Łada, Aza, Aram, order, łoś, zajęć, wyżły, sanki, Bunin, niebo, iskra, ścisk.

SZYFR

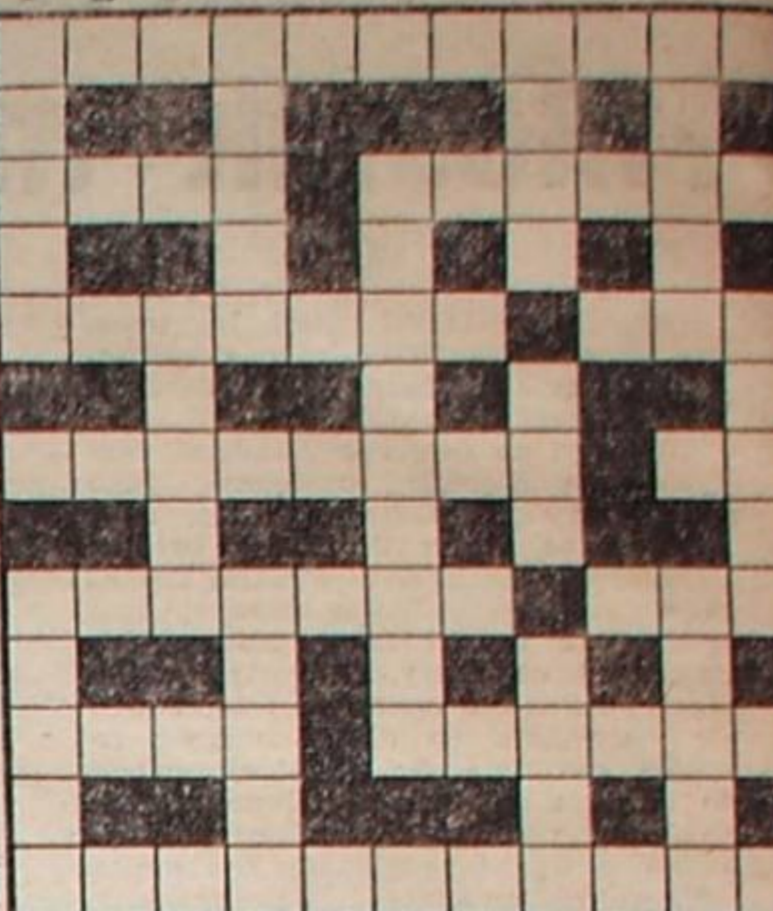
Sute wieczere rozpychają trumny.

Jessenius

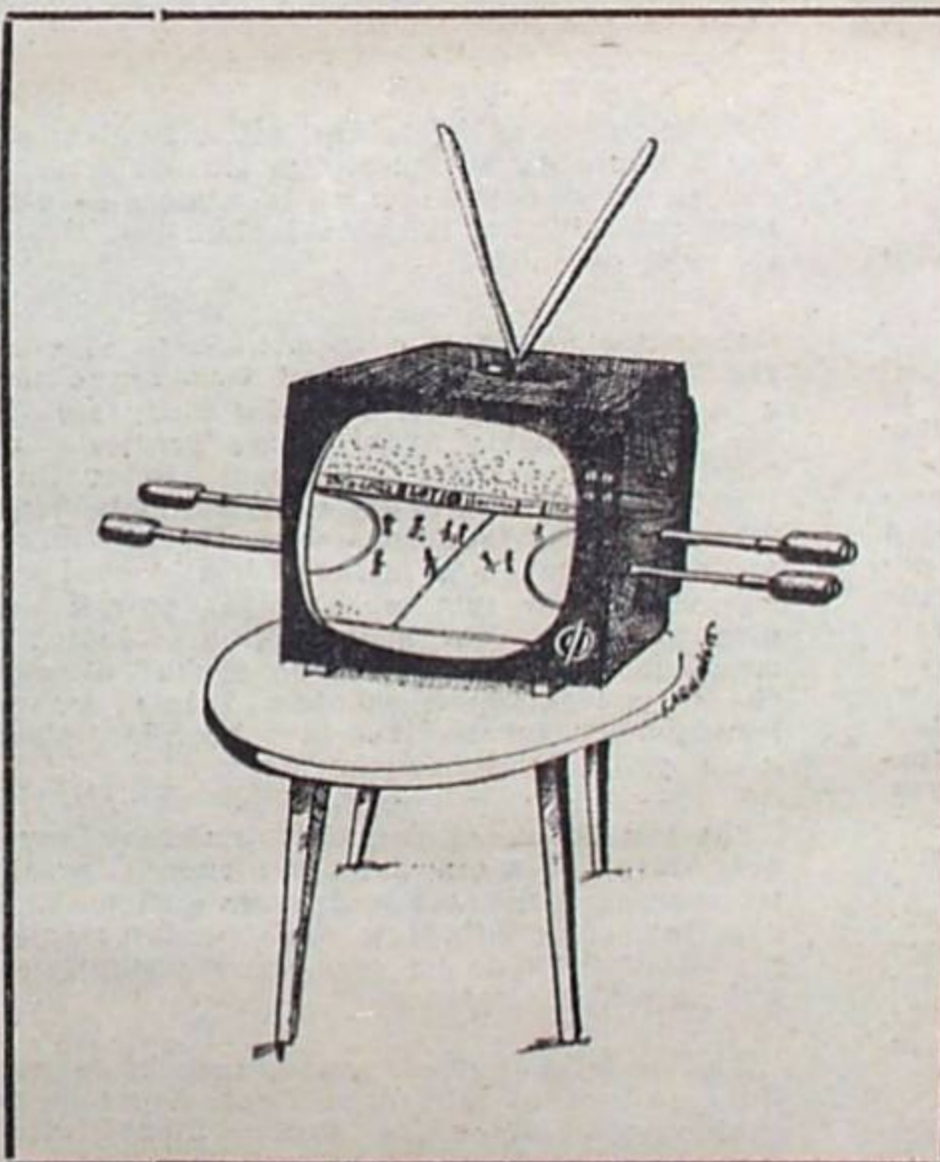
Nagrodę wylosował Jan Harasiuk, 23-408 Aleksandrów 492.

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11

A
B
C
D
E
F
G
H
I
J
K
L
M



Pro domo sua
Z teki
Zbigniewa
Cieniucha



Archiwum
mistrzów
anegdoty

Mark Twain złożył pewnego dnia wizytę swojemu wydawcy, oferując mu wybór humoresek. Wydawca uprzedził go, że nie uznaje stałego cennika, lecz każdą z humoresek wyceni oddzielnie według jej wartości. Słyszac to Twain wykrzyknął:
— Och, nigdy nie przypuszczałem, że dostane aż tyle!

Bernard Shaw zwrócił się raz do angielskiego filozofa z zapytaniem:
— Czy mógłby pan napisać historię ludzkiej głupoty?
— Mógłbym — odparł Bernard Russel — ale zanadto by się pokrywała z historią powszechną.

Znakomity pisarz rosyjski, Lew Tolstoj, widząc, jak policjant brutalnie obchodzi się z zatrzymanym, zawołał z gniewem:
— Czy umiesz czytać?
— Tak.
— A czy czytałeś „Ewangelie”?
— Czytałem.
— To powitienesz wiedzieć, że bliźniego nie wolno znieważać!
— A czy pan umie czytać? — zapytał policjant.
— Umie — odpowiedział Tolstoj.
— A czy czytałeś pan instrukcję dla stójkowych?
— Nie, nie czytałem.
— To niech pan nie nie mówi dopóki jej pan nie przeczyta.

Wyszperal:
Ryszard Dunin

Zderzenia

Piramidon
i Mancypantki

NAZYWANIE osiedli miast imionami poetów i pisarzy jest słusne i piękne. Nazywanie ulic tych osiedli imionami literackich bohaterów tychże — równie słusne, piękne, acz ryzykowne.

Weźmy ulicę takiego — na przykład — Pana Balcera w Brazylii (osiedle imienia Marii Konopnickiej w

Lublinie). Pełna nazwa nijakim sposobem nie mieści się ani na ulicznej tablicy, ani na kopercie, gdyby ktoś chciał tak adresować. Skrót — co siłą rzeczy następuje — czyni szkodę oryginalowi. Lubelskim jednak targiem pozostaje ulica Pana Balcera. Tak samo w rubryce: „adres nadawcy” nie mieszczą się: ani Pan Wołodyjowski, ani Jurand ze Spychowa, Spyttek z Melsztyna, Longin Podbiępięta, Sierotka Marysia i krasnoludki. I słusznie, że je „ukrócono”. Aliści nazwiska bohaterów i czolowych tytułów utworów naszych geniuszy pióra, miast zapisywać się złotymi zgłoskami w pamięci mieszkańców, kielbaszą się im, dezorientując i pytającego i pytanego.

— Panie, a gdzie jest ulica Piramidona?

Oblatany w poezji romantycznej natchmiał wskazuje na „Irydiona” i na Krasieńskiego.

Albo — jak trafić na ulicę — pyta ktoś inny — Mancypantek?

Kto nie poznał Prusa i jego dzieł, ani by się domyślił, że chodzi o „Emancypantki”, i miałby, Bóg wie jakie skojarzenia.

Magnolie nie lubią
helitu

ZE 100 rzadkich w naszym mieście rododendronów rosnących do niedawna w Parku Saskim, zostało już tylko 40. reszta padła z rak miejscowych wandalii. A co może zostać po równie

unikalnych, bo pojedynczych, magnoliach? Jeden z okazów tego pięknego i wiekowego już krzewu, zdobywca smutny dziedzic PSK i przy ulicy Staszica w Lublinie, obłożony został płytami belitu. Szpital przeżywa remont, co napawa nadzieją na poprawę warunków pracy, leczenia i estetyki obiektu. Smuciej natomiast fakt, iż zielone płuco szpitala — owa magnolia i inne krzewy — narażone są na dewastację.

Panowie Budowniczości! Nie niszczyć chorą tego skrawka zieleni, „choć” macie samą doskonałą wznieść — jakby powiedział poeta, a miastu nie zabieracie przyrodniczej osobliwości, bo tę już będzie trudniej odbudować.

(dey)